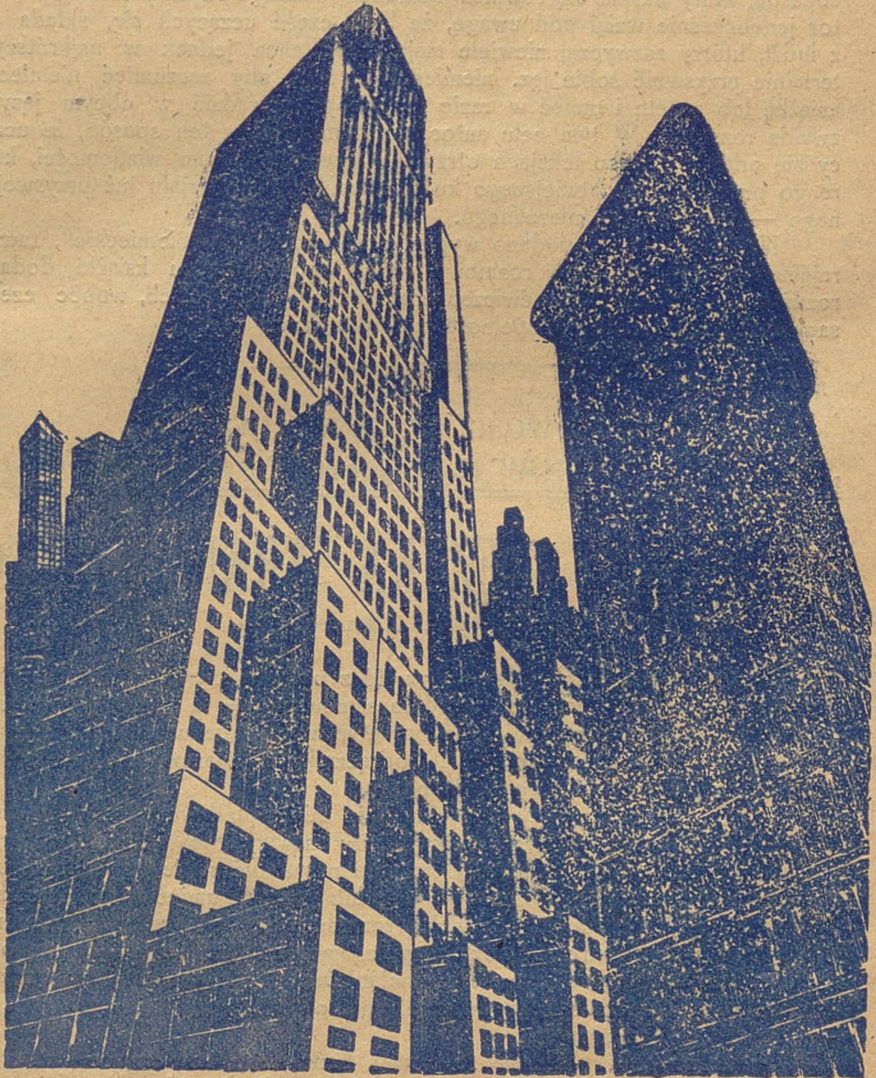
Cena 60 groszy.

Mój Przyjaciel

Podróże — Przygody — Nauka

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

Rok V Warszawa, kwiecień 1928 № 4.





Rok V. Warszawa, kwiecień 1928 Nr. 4.

SYMBOL WSPÓLNOŚCI.

Nadchodzi wiosna, natura budzi się z letargu zimowego, zbliżają się święta Wielkanocne. I w tym roku, tak jak to było w poprzednim, jak to było zawsze, usłyszymy głosy sceptyków, — ludzi po brzegi wypełnionych tanią mądrością powszedniości. Usłyszymy pytanie: „czego się właściwie cieszyć z powodu wiosny? albo z powodu świąt? Czy ta wiosna, czy te święta przyniosą nam coś nowego, coś lepszego, z czego rzeczywiście rozumny człowiek miałby powód się cieszyć, kiedy zgóry wiadomo, że wszystko pozostanie po staremu".

Jest to pytanie zdaje się tak stare, jak stare jest społeczeństwo ludzkie. Zadaje się je z żartobliwym przekąsem przy spotkaniu ze znajomym na ulicy; w pismach czytamy na ten temat zabójczo sceptyczne i nieznośnie mądre artykuły; spotyka się to odwieczne pytanie, przybrane w szaty naukowe, w foljałach uczonych, uznających za rozumne tylko to, co się daje zmierzyć linją, cyrklem i mikroskopem.

O ileż szczęśliwsi są ci, którzy witają nadejście wiosny, a z nią nadejście uroczystych dni świątecznych, z sercem wezbranem młodą radością, bez zimnego sceptycyzmu i bez tych zbyt trzeźwych rozumowań. O ileż są szczęśliwsi i... mądrzejsi! Bo bywają jasne chwile w życiu, jasne dni w roku, do których należy się odnosić nie z zimnem wyrachowaniem doświadczonego życiem człowieka, a z niefrasobliwą radością roześmianego dziecka.

Przyłączmy się do tych, którzy z całą szczerością witają nadchodzące Święta. Nie szukajmy dowodów rozumowych, albowiem nakaz dni świątecznych dla człowieka ustanowiony jest przez potęgę daleko przewyższającą nikłe siły jednostki: przez nieomylną zbiorową mądrość całego rodu ludzkiego w procesie ewolucji tysiącleci. Nigdzie się nie przejawia z taką siłą duchowe podłoże natury człowieka i wyższość jego nad wszystkiemi istotami ziemskiemi, jak w tej jego zdolności, wyrzeczenia się na chwil kilka twardej walki o byt, i oddania się myślom radosnym i wzniosłym, niezmąconym troską codzienną i niepokojem.

Dlatego też tradycje świąteczne, nadające tym dniom charakter tak uroczysty, przechowały się z małemi zmianami przez całe szeregi pokoleń. Zmienia się wszystko: miast wsi i siół powstają miasta ludne, rozkładają się stare państwa i powstają nowe, zmienia się całe oblicze ziemi, — ale tradycje świąteczne, najbardziej stare i najbardziej trwałe ze wszystkich tradycyj, pozostają niezmienione na przestrzeni wieków. Człowiek współczesny, twórca radja i samolotu, (w

czarodziej potężny, opanowawszy po długiej walce siły, zaklęte w zjawiskach natury, — siada do stołu świątecznego z tem samem uczuciem, w tym samym nastroju, jak jego daleki pra-pra-przodek, który dopiero rozpoczynał drewnianym pługiem szarpać twardą pierś życiodajnej matki—Ziemi. O tym nierozerwalnym związku, łączącym nas z przeszłością, pięknie mówi poeta:

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko
W dawnej postaci — jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko,
Świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Ale tradycja świąteczna nie jest tylko ogniwem, łączącem przeszłość z teraźniejszością. Tradycja jest wielką spójnią każdego Narodu. Coś niezmiernie przejmującego, sugestywnego jest w myśli, że w tej samej chwili, gdy siadamy do stołu świątecznego, miljony współrodaków, bliskich nam z krwi i wiary, czyni to samo... Wtedy odczuwamy, że ponad wszelkie różnice stanów, przekonań i interesów istnieje jedna wielka całość, której na imię—Naród. Wtedy inna wielka idea—braterstwa ludzi — przestaje się wydawać romantycznym wymysłem idealistów, odczuwamy bowiem głęboką prawdę życiową, która leży w jej osnowie.

B. Nowicki.

KU SŁOŃCU,

Tatusiu kochany
Jak słońce to świeci,
Aż promyk zdyszany,
Hen do mnie tu leci!
Chcę z słońcem się bawić,
Pobiegnę na chwilę,
Zatrzymam go w ręku,
Pogłaszczę, popieszczę,
I Tobie przyniosę
Słoneczne jaśnienie,
To żółte złociste
Jak jaskry kwitnące!

Dziecino! do słońca
Daleka zbyt droga!
Co mil ze dwadzieścia
A może i więcej!
Nie zliczysz, kochany,
To chyba tygodnie
Ku słońcu iść można
Miesiące i lata
A dojść niepodobna!..

Tatusiu kochany
Ja pójdę już teraz,
A kiedy urosnę
Już duży ogromny
To dojdę do słońca,
Pogłaszczę, popieszczę,
O złote promienie
Go ślicznie poproszę...
I będzie nam świecić
I we dnie i w nocy,
A wszystko rozkwitnie
Na łąkach i polach,
I ludzi nie będzie już smutnych
Na rolach.

A w nocy się lampy
Nie będzie już palić
I ja spać nie będę,
A tylko noc całą
Słoneczko mi baśnie
Ciekawe opowie,
Co wszystko widziała
Przez całe swe życie!

Zofja R.

WSZYSTKIM PRENUMERATOROM i CZYTELNIKOM
ZASYŁA RED. „MOJEGO PRZYJACIELA" NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA
Z POWODU NADCHODZĄCYCH ŚWIĄT.

Ponad falami oceanów.

COSTES, LE BRIX. SZLAKIEM PODNIEBNYM Z PARYŻA DO NOWEGO JORKU. — 35.000 KLM. W 212 GODZIN. — RAJD LONDYN — AUSTRALJA. — WIELKI CZYN MAŁEGO CZŁOWIECZKA

Każdy wybitny lotnik powinien mieć trochę temperamentu gracza. Z każdym wielkim lotem rozpoczyna ze ślepym Losem hazardowną grę — wstępując w szranki z najbardziej kapryśnym żywiołem, — żywiołem przestworzy. Wygrana przyniesie sławę, często bogactwo, niezwykłą, niekiedy wprost legendarną popularność śród miljonowych mas obu półkul. Za przegraną trzeba płacić — życiem. Bogini zimnego rachunku — Statystyka — rzetelnie uprzedza, że szanse na wygraną i przegraną są mniej więcej równe. Wygrali: Lindbergh, Chamberlin, Byrd, Orliński. Przegrali Nungesser, Coli, de Saint-Roman, Mouneyrés. I każdy z nowych graczy z uśmiechem na ustach rzucający swe życie na szalę, wie, że krzyż honorowy, który ma ozdobić pierś zwycięzcy, może się bardzo łatwo przeistoczyć w inny krzyż, pochylony nad świeżą mogiłą.

Ostatnio lista szczęśliwych graczy wzbogaciła się o sławne nazwiska—Francuzów Costesa i Le Brixa i Anglika Hinklera.

Costes i Le Brix wybrali dla swej podróży fantastyczną marszrutę, przypominającą nieco wędrówki bohaterów powieści „Dzieci kapitana Granta". Diarjusz ich podniebnej podróży notuje nazwy miast i krajów, tchnących czystą egzotyką. Po Paryżu — Dakar, Senegal, Pernambuko, Asumpcjon, Sant-Jago, La Paz. Nazwy niektórych etapów czytelnik daremnie będzie szukał nawet na najbardziej dokładnych mapach geograficznych.

Romantyczna podróż wymaga romantycznych bohaterów Costes, wysoki, chudy, pochmurny, o stalowem spojrzeniu przymrużonych oczu, które zawsze zdają się wpatrywać gdzieś hen, w bezmierną dal. Wiele, bardzo wiele już widziały te przymrużone oczy... Podczas wojny—spalone słońcem Gallipoli, kwitnące doliny Mezopotamji, i drzemiące w wiekuistym spokoju grobowce - faranonów —olbrzymie sfinksy –które wydawały sie jednak śmie-



sznie małe z wysokości 3.000 metrów. Wojna przynosi Costesowi parę tuzinów orderów i odznaczeń, złamaną rękę, strzaskaną celnym niemieckim pociskiem i rangę... porucznika rezerwy armji francuskiej.

Costes spotyka Le Brixa, który odtąd będzie nieodłącznie mu towarzyszył podczas długich i niebezpiecznych wędrówek podniebnych. Razem z nim Costes dokonywa świetnych rajdów Paryż—Omsk, oraz Paryż — Djask, wpisując jedną z najciekawszych i najwspanialszych kartek do historji awiacji współczesnej. Podczas tych długich lotów, odbytych na tym samym aparacie z tym samym motorem, upewnia się wreszcie, że ma w ręku atuty, zapewniające wygraną w oddawna planowanej wielkiej partji z Losem: ma świetną maszynę i dzielnego mechanika. Loty te dały mu również pewność siebie.



Oryginalna mapka francuska, używana przez lotników, wskazująca rzeczywiste odległości krajów i miast, w odróżnieniu od zwykłej mapy o projekcji sferycznej.

Dnia 10-go października 1927 roku samolot wzbija się w powietrze pięknym wirażem nad aerodromem. Przez dobrą lunetę można dostrzec, że kadłub płatowca przedstawia zdołu istną mapę geograficzną, jest bowiem upstrzony nazwami miast i krajów, które lotnicy mają odwiedzić podczas wędrówki, mającej wynosić 32.000 kilometrów.

Bez wielkich przeszkód lotnicy docierają do Saint-Louis, stolicy francuskiego Senegalu, pokrywając trasę 4.000 klm. w ciągu 11 godzin. Ale to dopiero przygrywka. Następnego dnia samolot dzielnych Francuzów mknie już nad spienionemi groźnie falami Atlantyku, kierując się ku Brazylji.

Jest to najniebezpieczniejsza część podróży, Gdyby motor się zaciął, czeka ich nieuchronna zguba. Ląd brazylijski znajduje się w odległości 3.400 kilometrów. Nielada próba dla nerwów pilotów i wytrzymałości aparatu.

Wpół drogi lotnicy natknęli się na przeciwny wiatr, a potem na deszcz i burzę. Gdzieś wśród rozszalałych żywiołów nad bezmiarem oceanu błąka się wątła skorupa aparatu, kierowana przez nieustraszonego Francuza. Wynik walki wydaje się bardzo wątpliwy. Wtem o godzinie 11 wieczór, radjo-stacja w Pernambuko obwieszcza *urbi et orbi* radosną wieść o zbliżaniu się lotników do lądu amerykańskiego. Pierwsza i najbardziej ryzykowna gra skończyła się zwycięstwem woli ludzkiej.

Teraz w krótkich odstępach czasu następują po sobie mniejsze etapy podróży. Nieprzerwanym szeregiem triumfów stają się dla naszych bohaterów „wizyty powietrzne“ w Rio-de Janeiro, Buenos-Aires, Montewideo, Asuncjon, Carawellas i całym szeregu innych miast Ameryki łacińskiej o równie romantycznych nazwach. Nie zawsze

coprawda idzie gładko. Podczas jednego z lotów zrywa się gwałtowna burza i zapędza płatowiec gdzieś hen, na morze. Zapas benzyny, obliczony na krótką drogę, wyczerpuje się. W tym wypadku atoli ujawnił się cały kunszt pilota, który potrafił z nieczynnym motorem przelecieć kilka kilometrów i wylądować w wąskiej górskiej szczelinie, kilkadziesiąt kroków od brzegu, spadającego stromem urwiskiem ku rozhukanym falom oceanu.

Z Buenos-Aires lotnicy kierują się ku Sant-Jago, stolicy chilijskiej. Lecą nad nieskończonem morzem pampasów, nad dziewiczą dżunglą, zamieszkałą przez najbardziej dzikie i prymitywne plemiona indjańskie. Costes notuje w dzienniku podróży ciekawą antytezę, która mu się mimowoli nasunęła: na dole — ludzie, którzy jedzą surowe mięso, bo nie znają jeszcze ognia, i polują na zwierzynę z bronią epoki bronzowej, a nad nimi, kilkadziesiąt metrów w górę, mknie ptak stalowy, — ostatnie słowo techniki XX wieku. Zaiste, dwie epoki, oddalone od siebie o setki tysięcy lat, zetknęły się tu na odległości kilkudziesięciu metrów.

W drodze do Chile lotnikom udaje się przelecieć nad niebosiężnemi szczytami Kordyljerów, — zadanie, dotychczas niewykonalne dla południowo-amerykańskich lotników. Costes nadsyła do Paryża triumfujący telegram: „Stara Europa zwycięża".

W krótkich odstępach czasu lotnicy zwiedzają La Paz, stolicę Boliwji, szczycącą się swem „wysokiem stanowiskiem" śród innych stolic świata, bo położoną na wysokości 4.000 metrów nad poziomem morza; potem Guayaquil, egzotyczne miasto niemniej egzotycznego państwa Ekwador, Lima—stolica Peru i Panama, gdzie lotników wita słynny Lindbergh, pierwszy zwycięzca Atlantyku.

Wreszcie przez Meksyk i Nowy Orlean Costes i Le Brix docierają do Nowego Jorku. Dziwnem się wydaje, że ten stosunkowo krótki odcinek drogi okazał się dla naszych lotników najcięższy. Gwałtowne burze zmuszają wciąż lotników do lądowania; po każdej setce kilometrów następuje dłuższa przerwa.

Dnia 11 lutego o g. 10 dzielni Francuzi lądują na aerodromie Mitchell Field, w Nowym Jorku, witani entuzjastycznie przez niezliczone tłumy. W ciągu półgodziny lotnicy nie mogą utorować sobie drogi do przygotowanych dla nich samochodów. Ale tłum amerykański nie pozwoli tak łatwo pozbawić się ciekawego widowiska. Samochody zatrzymują się, lotników wynoszą na rękach, i wsadzają na dach auta, nie pozwalając ukryć się we wnętrzu limuzyny. Tak siedząc na śliskim dachu, ogłuszeni wrzaskiem stutysięcznego tłumu, Costes i Le Brix zbliżają się do Nowego Jorku, gdzie potężne reflektory kreślą na obłokach ognisty czworokąt z napisem:

Paris — New-York
35.710 klm.
Costes Le Brix

W tym samym czasie, gdy Francuzi mknęli ponad dziewiczą dżunglą Ameryki Południowej, Anglik Hinkler wsiadał do aparatu, aby rozpocząć lot w linji prostej między Londynem a Australją. Dziwaczny mały człowieczek, mr. Hinkler wybrał dla swej podróży nie mniej dziwaczną maszynę. Zamiast stalowego olbrzyma z motorem o 1000 koni parowych, maleńki człowieczek obrał sobie drobniutką maszynę, jakąś zabawkę dziecinną, o sile 30 H. P.

Maleńki mr. Hinkler wlazł do swej dziecinnej maszyny, uśmiechnął się, skinął ręką i ruszył w drogę. Za 16 dni mr. Hinkler uśmiechał się do tłumów, które witały go w Australji jako bohatera narodowego. Matka natura poskąpiła materjału na mr. Hinklera, ale zato zbudowała go widocznie z najhartowniejszej stali, bo rzeczywiście, dokonał on czynu nielada. Zgięty w pałąk w mikroskopijnej kabince przeleciał pustynie Arabji, burzliwy Ocean Indyjski i tysiące wysp podzwrotnikowych, prażony słońcem, nie używając posiłku podczas kilkunastogodzinnych lotów. Trudno o bardziej wspaniały przykład odwagi, zimnej krwi i żelaznej wytrzymałości.

Jerzy S.

Zaczarowana Rzeka.

*Opowiadanie o niezwykłej przygodzie młodego oficera angielskiego, który wpadł w ręce Boerów, nienawidzących wszystkiego co angielskie**.

II.

Uprzedzałam pana, panie Angliku, — rzekła Kate de la R., że lepiej byłoby, gdyby pan był odszedł zawczasu Nie może pan bynajmniej narzekać, że nie uprzedzono pana.

Ogniste strzały słońca padały pionowo na zamknięte żaluzje sypialni. Gdyby nie bolesna rana na czole, która nie pozwalała Barfordowi nałożyć stalowego hełmu, oraz nawiedzające go od czasu do czasu uczucie dziwnej jakiejś słabości, młody oficer byłby zapomniał o wczorajszej tragedji. Barford stał oparty o framugę okna, starannie ubrany i wygolony, z nierozłącznym towarzyszem — Koltem — za pasem. Bądź co bądź, nie warto było podnosić hałasu z powodu tego zajścia. Gdyby pułkownik Mastermann dowiedział się o tem, co zaszło, niesubordynowany oficer nie mógłby liczyć na żadną pobłażliwość z jego strony.

— Zabawna historja, czy nie? — powiedziała Kate de la R., rzucając Barfordowi przelotne spojrzenie swych głębokich, zamglonych oczu. — To było strasznie nierozsądne ze strony pana — napaść na Dirka. On jest silny jak sześciu mężczyzn razem wziętych, i może zadusić lamparta gołemi rękoma.

Barford przez chwilę stał zamyślony.

— Widzi pani,—powiedział wreszcie, — mojem zdaniem wszystkie te porachunki należą już do historji starożytnej. Mówiąc bez ogródek, rodacy pani też dobrze dali się nam we znaki. Ale w każdym razie, jestem pani ogromnie wdzięczny, bo gdyby nie pani, Bóg wie coby się mogło zdarzyć. Czcigodny wuj pani na pewno zabiłby mnie następnym wystrzałem.

Dziewczyna nie zwróciła uwagi na pojednawczą nutę, która przebijała wyraźnie w słowach Barforda, i zdawała się nie widzieć jego wyciągniętej ręki.

— Powstrzymałam mężczyzn,—powiedziała zimnym tonem, — żeby uratować ich, a nie pana. Cała wczorajsza scena była obrzydliwa... Uważam, że ta sprawa powinna być załatwiona tak, jak *ja* tego zechcę. Rozumie pan? pańska sprawa należy do mnie!

Barford, zbity z tropu nie wiedział co odpowiedzieć. Na szczęście w tej chwili z podwórza doleciał niewyraźny tętent koni. Barford wyjrzał przez okno i zobaczył swego wierzchowca i dwa tubylcze konie osiodłane i gotowe do podróży.

— Pan mówił, że jedzie pan do kraalu Mayembe, — powiedziała Kate de la R.,—stąd do tego kraalu będzie kawał drogi. Mój wuj razem z kuzynem odprowadzą pana. Jeżeli pan jest gotów, niech się pan wybiera w daleką... bardzo daleką podróż.

Piet Hoog pierwszy przerwał milczenie, kiedy wszyscy trzej dotarli do wierzchołka góry, która wznosiła swe śnieżne szczyty na wschód od fermy. Boer wskazał na daleki wąwóz, gdzie, na tle aksamitnych zarośli krzaków kaktusowych, przebłyskiwała matowa wąska linja wody.

*) Dokończenie. Patrz „Mój Przyjaciel" № 3.

— To jest właśnie Zaczarowana R z e k a, Angliku, — wycedził z posępnym uśmiechem.— Przeprawiamy się przez nią w bród. Kraal Mayembe znajduje się tuż koło rzeki.

Barford rozglądał się dookoła. Kamieniste zbocza góry tworzyły łagodną pochyłość, zniżającą się w kierunku rzeki, ale linja wysokich kaktusów, oznaczająca k o r y t o rzeki, wspinała się na stromy pagórek i ginęła na jego wierzchołku.

— Cóż to, do licha! — krzyknął, zdumiony. — Gdzie to widziano, aby rzeka płynęła pod górę?

— Dlatego właśnie tubylcy ochrzcili ją Zaczarowaną Rzeką, — b r z m i a ł a odpowiedź. — Zdaje się, że tam są jakieś prądy podziemne. Niektórzy mówią, że to nawet nie rzeka, a zwykłe jezioro, ale nikt n a p e w n o nie wie. Trzeba przeprawiać się w bród, bo objeżdżać naokoło byłoby zbyt daleko.



Stój! Ręce do góry! Rzucić karabiny!

Na tem rozmowa się urwała. Z tych twardych i milczących jak te skalne złomy Boerów nie można było wydobyć więcej ni słowa. Barford z westchnieniem ulgi pomyślał o bliskim momencie, kiedy to niezbyt miła przygoda nareszcie się skończy.

Trzech jeźdźców zbliżyło się do gęstych zarośli krzaków; Barford jechał na czele. Wąska ścieżka wiła się na dnie głębokiego parowu o wysokich niedostępnych zboczach, który kończył się na brzegu rzeki stromem urwiskiem. Nieprzebyta puszcza kaktusów i „drzew febry“ nie dochodziła do brzegu rzeki, która się wydawała czarna i niesamowita w swem ogołoconem z zieleni łożysku. Promienie słońca nie przenikały do dna tego wąwozu, który nawet w południe pozostawał pogrążony w czarnym wilgotnym cieniu.

— No, jazda naprzód, Angliku! — ułyszał Barford głos starego Boera.

— Nie mogę! — krzyknął Barford, obróciwszy się na siodle i ścisnąwszy kolanami boki konia, który chrapał, strzygł uszami i nie zdradzał naj-

mniejszej ochoty wejść do czarnej jak atrament wody. — Gdzie jest ten wasz bród, u licha?

— No, czego tam jeszcze! Pański koń umie pływać. Gdyby pan nawet chciał, nie potrafi pan utonąć w tej rzece!

Koń Barforda rzeczywiście umiał dobrze pływać, ale w tym wypadku wolał najwidoczniej pozostać na suchym gruncie. Kiedy zniecierpliwiony Barford spiął wierzchowca ostrogami, koń cofnął się, chrapiąc z przerażenia, i stanął dęba, ledwo nie zrzuciwszy jeźdźca z siodła. Jakieś mgliste, niesamowite podejrzenia zaczęły powstawać w głowie młodego oficera.

— Niech któryś z panów jedzie pierwszy!—krzyknął Barford Boerom,— inaczej pojadę okólną drogą. Wszystko mi jedno, mam dosyć czasu.

Przy tych słowach odwrócił się na siodle i ujrzał... dwie lufy karabinów, skierowane ku jego piersi, i dwie twarze, zastygłe w jakimś djabelskim kamiennym uśmiechu.

— Dziękuję ci, Boże, żeś wysłuchał naszych modłów, — wyrzekł uroczyście stary Boer. — Niech zginie nasienie nieprawości! Angliku, żywy czy martwy musisz wejść do wody.

Ale Opatrzność widocznie czuwała nad młodym oficerem, skoro nie został zmuszony do dokonania trudnego wyboru.

— Stój! Ręce do góry! Rzucić karabiny, żywo! (Rozległ się strzał). Rzucić karabiny mówię!

Piet Hoog wahał się przez chwilę ze spełnieniem rozkazu, i teraz z twarzą wykrzywioną bólem wymachiwał przestrzeloną ręką, z której tryskała krew. Po stromem zboczu parowu pędziła na złamanie karku grupa ludzi, śród których Barford, ku swemu zdziwieniu, poznał pułkownika Mastermanna i z półtuzina murzynów - policjantów, z Nyongwaną na czele.

— Zleźć z koni w tej chwili! — krzyknął ten sam szorstki głos.—Cofnąć się o kilka kroków wtył! Bejane, zejdź i zabierz im karabiny. Mac-Andrew, jeżeli zaczną robić jakieś kawały, strzelaj natychmiast!

— Bardzo mi miło widzieć pana, panie pułkowniku, — zaczął Barford...

— Dalej od wody, idjoto! Dalej od wody, mówię!—ryknął Mastermann. Barford zawrócił konia i przyłączył się do reszty policjantów. Pułkownik spojrzał nań z kwaśnym uśmiechem i pokiwał głową.

— Spodziewałem się tego już oddawna, — powiedział pułkownik. — Wiedziałem, że pan nie potrafi zastosować się do moich rozkazów, i dlatego kazałem Nyongwanie, aby pilnował pana, — chociaż dalibóg, Nyongwana mógł mieć coś lepszego do roboty. W tem miejscu zginęło już wielu ludzi daleko lepszych od pana.

Barford mimowoli spojrzał na czarną powierzchnię rzeki, na której cicho kołysały się szerokie liście lilij wodnych. Zaczął coś mówić, ale Mastermann przerwał natychmiast:

— Pan i Mac Andrew musicie nałożyć kajdany na ręce tych ludzi, — rozkazał.

Słowa pułkownika nie uszły uwagi dwóch jeńców.

— O co nas oskarżasz, Angliku?— zapytał szyderczo stary Boer.

— Tymczasem wystarczy usiłowanie zabójstwa, — odrzekł pułkownik.— Ale ja mam dla pana coś lepszego w zapasie. Gdzie się podziało trzech murzynów z waszej fermy? Gdzie są dwaj angielscy żołnierze? Zdaje mi się, że teraz możemy już trochę wyświetlić te sprawki!

— Że Anglik nie potrafi pływać, to jeszcze nie dowód, że pan może nas aresztować za usiłowanie zabójstwa! — zawołał stary Boer, kiedy kajdany zgrzytnęły na jego rękach.

— Niech pan nie udaje niewiniątka,—krzyknął pułkownik. — Znam język murzynów nie gorzej od pana, i wiem, co to jest za „Zaczarowana Rzeka“. Nie wiem jeszcze, czy ci żołnierze żyli, kiedy pan ich wrzucił do rzeki. Ale... co to? ...a-a, psia krew!

Barfordowi udało się po wielu wysiłkach zatrzasnąć jedną obrączkę kaj-

dan na ręce Dirka. Zanim Barford zdążył nałożyć drugą, Dirk wyrwał łańcuch z rąk Barforda i z całej siły trzasnął nim oficera po twarzy. W następnej chwili olbrzym podniósł Barforda na wyciągniętych rękach i skoczył w kierunku rzeki.

Dwa strzały rewolwerowe huknęły jeden po drugim. Mastermann strzelał celnie. Dirk wypuścił z rąk swą ofiarę i obaj stoczyli się po stromem urwisku.

Murzyni policjanci rzucili się ku rzece; ale dla Dirka Hooga pomoc przyszła już za późno. Z wysiłkiem podniósł się na nogi, zachwiał się i runął wprost do czarnej wody. Barford kurczowo czepiał się zdrętwiałemi palcami śliskich omszałych kamieni, gdy ręce Nyongwany schwyciły go za włosy i odciągnęły od wody,— w tej właśnie chwili, gdy Barford zrozumiał nareszcie tajemnicę „Zaczarowanej Rzeki".

Zdawało się że w rzece nastąpił wybuch podwodnego wulkanu. Woda wrzała i pieniła się. Potworne łuskowate łby uderzały o siebie, wydając dźwięki, przypominające skrzypienie łodzi po kamieniach. Podobne do pił ogony smagały wzburzoną wodę, podczas gdy krokodyle rwały na strzępy swą zdobycz.

Wszystko zcichło równie niespodzianie, jak się zaczęło. Powierzchnia wody wygładziła się i po całej tragedji, jaka rozegrała się przed chwilą, pozostało tylko kilka połamanych łodyg lilij wodnych i czerwona plama, która płynęła cicho na spokojnej wodzie, unoszona niewidzialnym prądem.

* * *

„Zaczarowana Rzeka", — objaśniał pułkownik Mastermann tegoż wieczora przy kolacji, — była ongiś, jeszcze za murzyńskich królów, specjalnem miejscem stracenia. Miejscowi kacykowie wrzucali do rzeki swych podwładnych, których z tych lub innych względów pragnęli się pozbyć. W tej rzece żyją największe krokodyle, jakie kiedykolwiek widziałem,— prawdopodobnie rówieśnicy tych murzyńskich monarchów. Wiadomo, że krokodyl może żyć całe stulecia. Ten tubylczy „żart", o którym pan wspominał, polega właśnie na tem, że skoro ktoś wpadnie do tej rzeki, już nie będzie miał czasu aby pływać albo tonąć...

Znałem pańskiego ojca, panie Barford, jeszcze z czasów wojny z Boerami; zresztą, już mówiłem kiedyś panu o tem. Byłem pewny, że jeżeli pan wpadnie w ręce Pieta Hooga, on pana zabije. Pan zawdzięcza swe młode, i dodam, trochę głupawe życie wyłącznie Nyongwanie, temu właśnie cuchnącemu murzynowi, jak go pan zwykle nazywał.

Zmieszany Barford uśmiechnął się niewyraźnie.

— Gdy tylko Nyongwana opuścił pana,—ciągnął dalej pułkownik,— udał się natychmiast do kraalu Mayembe, który, nawiasem mówiąc, leży w zupełnie innym kierunku niż „Zaczarowana Rzeka", — i zaalarmował bębnem całą załogę. Spędziliśmy całą noc na koniach!..

Wtedy to Barford zaryzykował pytanie, które gwałtem cisnęło mu się na usta.

— A jak tam z tą... z tą dziewczyną, — wykrztusił. — Przecież ona straciła wszystko na świecie! Przypuszczam, że teraz chyba opuści te strony?

Pułkownik Mastermann uśmiechnął się jadowicie.

— W takim razie, mój kochasiu, spotkasz się pan z nią na pewno. Bo pan wyjeżdża również.

— Jakto wyjeżdżam? — ozwał się osłupiały Barford.

— Udzielam rozkazów, — odparł Mastermann, — tylko w tym celu, aby je wykonywano. Nie jestem tutaj poto, aby uczyć dyscypliny; to się robi w kwaterze głównej. A więc—żegnam pana; zobaczymy, może szef sztabu w Londynie coś dla pana zrobi.

Tłum. z angielskiego

Old Man.

Piewca białych pustyń.

SYLWETKA JACKA LONDONA NA TLE JEGO TWÓRCZOŚCI.

Napisał J. RYTEWSKI.

Różnorodne są drogi, któremi kroczy genjusz ludzki. Niektórym rzucają dobre wróżki już do kołysek dary zarówno duchowe, jak i materjalne. Ci szczęśliwcy poznają swe siły w zaraniu życia i świadomie dążą do spełnienia powierzonego im zadania. Inni natomiast czerpią natchnienie w twardej szkole życia, które raczej cierniami, niż kwiatami jest dla nich usłane.

Do tej ostatniej kategorji zaliczyć należy Jacka Londona, dziecię ludu, tak gorąco przezeń umiłowanego. Pomimo to na los swój autor „Zewu krwi" nie miał potrzeby narzekać. Albowiem los jest jako młot, który kruszy szkło, ale kuje żelazo. A London był jak stal hartowna najprzedniejszego gatunku, to też z nastawianych nań sideł wydostawał się ręką obronną, a co najważniejsze, bez rozczarowania, które, niestety, stało się wprost chorobą naszego pokolenia.

Ten znakomity pisarz amerykański zdołał właśnie tę swą radość życia, to tryskające zeń wieczne źródło energji, połączyć z wrodzonem mu poczuciem piękna i poszukiwaniem nowych dróg dla polepszenia losu ludzkości. A przelewając te swoje marzenia na papier, stał on się autorem całego szeregu książek, porywających zarówno formą, jak i treścią.

Godzien jest przeto uwagi życiorys tego poety potężnych zmagań ludzkich. Ujrzał on światło dzienne w okolicy S. Francisco w Kalifornji, jako syn biednego rolnika. We wczesnem dzieciństwie zaprzęgnięty zostaje do pracy, a pierwszą jego szkołą była nędza. Trudno też uwierzyć, że mając zaledwie lat osiem, zdołał mały Jack zaoszczędzić sobie z własnej pracy trochę pieniędzy, których użył na kupno koszuli. Dwa lata później widzimy go sprzedawcą gazet, co mu jednak nie przeszkadza uczęszczać regularnie do szkoły. Musiał jednak biedak wstawać o trzeciej rano, aby biec do redakcji po gazety, aby je rozsprzedać przed rozpoczęciem lekcyj. Zaledwie lekcje się skończyły, brał się wnet do kolportażu pism popołudniowych. Ale to wszystko nie wyczerpywało jeszcze energji chłopięcej. W soboty ofiarowywał swoje usługi furmanom, rozwożącym lód, a w niedziele obejmował stanowisko w kręgielni, uwijając się raźno przy ustawianiu ustawicznie przewracanych kręgli. Zaiste praca syzyfowa...

Ale to wszystko było zaledwie przygrywką. Z prawdziwą pracą zapoznał się Jack w fabryce konserw. Liczył on wtedy lat 12 i zatrudniony był narówni z innymi chłopcami nierzadko 16 — 18 godzin na dobę. Jak sam wspomina w swych pamiętnikach, wracał w sezonie — co trwało niekiedy kilka tygodni pod rząd—o jedenastej wieczorem, przyczem kładł się spać o wpół do pierwszej. A o piątej nad ranem budzono go już do pracy. W tych fatalnych warunkach upłynęły młodemu chłopcu dwa lata.

A dusza jego rwała się wciąż do pięknych dolin kalifornijskich, wieczną zielenią umajonych, do tego odwiecznego poszumu największego oceanu na świecie. Wreszcie uległ podszeptom, które go zwały na łono przyrody.

Opuścił duszne, szare mury fabryczne i znalazł się na wolności. Ale z samego klimatu, chociażby tak cudnego, jak w Kalifornji, żyć trudno. Na rodzinę zaś Jack liczyć nie mógł. Zajmuje się przeto połowem ostryg, stając w kolizji z prawem, gdyż połów ten stanowił koncesję państwową. Wkrótce jednak porzuca „korsarstwo ostryg“ i zostaje majtkiem na okręcie, odpływającym do Japonji. Podróż morska, polowania na foki, obcowanie z ludźmi różnych ras i krajów wzbogaca jego horyzont, daje mu silne wrażenia, dostarczając pokarmu bystremu umysłowi chłopca. Odtąd żądza poznania nowych sfer i nowych ludzi będzie w nim wciąż dominowała, nie da mu się nigdy uspokoić, pędząc z miejsca na miejsce, aby mógł wejść w bezpośredni kontakt z całą niemal powierzchnią kuli ziemskiej.

Ale narazie zmuszony jest przerwać zajęcie marynarza i wraca do rodzimych pieleszy. Zaprzęga się znów do pracy fabrycznej, pracuje jednak nad uzupełnieniem braków swego wykształcenia i wolne chwile poświęca lekturze. Następujący fakt rzuca właściwe światło na jego charakter. London zostaje przyjęty do jakiejś elektrowni. Dowiaduje się jednak, że wskutek tego wymówiono pracę dwu innym robotnikom. Opuszcza natychmiast swe zajęcie, aby nie szkodzić innym.

W r. 1894 udaje się on w podróż po Ameryce. Chodzi przeważnie piechotą, o ile zaś używa kolei, to wyłącznie na gapę. Zczasem doszedł do takiej perfekcji, że potrafił wygodnie jechać zarówno pod wagonem, jak i na dachu, zeskakiwał i wskakiwał w biegu, a na buforach... chrapał. Obuwie rozsypało mu się już dawno, nogi okryły się pęcherzami i ranami, ale on pędzi wciąż naprzód, mija góry, rzeki i miasta. Można sobie wyobrazić, jak silne wrażenie wywarła na nim Niagara. Dzień cały do późnego wieczora przepędził tam oszołomiony, nie mogąc oderwać oczu od tego majestatycznego widowiska. A gdy



Jeden z młodzieńczych portretów Jacka Londona.

o północy poszedł poszukać sbie noclegu, został aresztowany za włóczęgostwo i skazany na 30 dni więzienia.

Ten czas nie został jednak dlań zmarnowany. W murach więziennych zrozumiał, że tryb życia, jaki prowadził, stawiał go jakby za nawias społeczeństwa. Niejedna osoba, z którą się stykał podczas swych wędrówek, stoczyła się na dno upadku. Co będzie, jeśli i jemu zbraknie siły moralnej?

Po opuszczeniu więzienia wraca do gniazda rodzinnego pierwszym lepszym pociągiem — oczywiście pod wagonem. Dzięki poparciu siostry, która poślubiła bogatego farmera, Jack znalazł się w dość znośnych warunkach materjalnych. Zawiera znajomości wśród studentów, oddaje się z zapałem nauce, aby uzupełnić braki swego wykształcenia i wstępuje nawet na uniwersytet. Z szczególnem zamiłowaniem oddaje się zwłaszcza naukom społecznym. Ale żywy umysł Londona nie mógł się zadowolnić suchą nauką książkową. Najodpowiedniejszą dlań wszechnicą była przyroda,

której otwartą księgę znowu zapragnął czytać. To też po niedługim czasie rusza ze swym szwagrem na Alaskę.

Londona nie nęciły jednak złote piaski, jeno tajemnicza przyroda tego północnego kraju; miał jakby przeczucie, że wśród tych śnieżnych równin czeka nań sława. Doznaje tam silnych wrażeń, które opisuje w „Opowiadaniach z Klondyke". Z miejsca zdobywa szeroką popularność i staje się poczytnym pisarzem.

Zwiedza następnie Europę, bada szczególnie robocze dzielnice i zakamarki Londynu. Dla gruntowniejszego poznania bytu bezrobotnych nocuje w przytułkach. Swe londyńskie wrażenia spisuje w „Ludziach otchłani". Jest to krzyk serca w obronie pokrzywdzonych. Zniechęciwszy się do starej Europy, London udaje się na Daleki Wschód, zwiedza Japonję, Koreę, jedzie na wyspy Hawajskie, przerzuca się na Kubę, Jamajkę i wreszcie odbywa podróż naokoło świata. Jednocześnie rozszerza się coraz bardziej jego widnokrąg, pogłębia inteligencja, a talent rozwija się w całej pełni. Krystalizują się w nim jego przekonania społeczne i uświadamia sobie tę silną więź, która go od urodzenia nierozerwalnie połączyła z ludźmi poniżonymi i wydziedziczonymi.

London był płodnym pisarzem. Z pośród jego dzieł cieszą się szczególną wziętością powieści i opowiadania, w których nie wiadomo, co bardziej podziwiać, fascynujące i niesamowite przygody, czy przepiękne opisy przyrody. Należą do nich: „Wilk morski", „Biały Kieł", „Jerry z wysp", „Opowieści straży rybackiej", „Bajki mórz południowych", a przedewszystkiem już „Opowiadania z Klondyke". Pisał on też chętnie opowiadania z życia zwierząt, których obyczaje i cechy charakterystyczne poznał dokładnie.

Opisując bohaterów królestwa zwierzęcego, London jakby się wcielał w te istoty czwororękie lub czworonogie. W opowiadaniu „Do Adama" kreśli naprzykład Jack London po mistrzowsku uczucie małpy, która się wzniosła do szczebla ludzkiego. Albo na kim nie zrobiły silnego wrażenia jego psy, czujące po ludzku? Opowiadania Londona z życia zwierząt zaliczane są do klasycznych dzieł tego rodzaju. Można porównać z niemi chyba „Księgę Dżungli" Kiplinga, który, jak sam London wyznaje, wzbudził w nim zamiłowanie do świata zwierzęcego oraz znakomite szkice Adolfa Dygasińskiego, głębokiego znawcy psychiki zwierzęcej.

London był jednak także znawcą duszy ludzkiej i w szeregu dzieł zapoznał nas z całą galerją ciekawych i oryginalnych typów. W utworach tych niema pierwiastka awanturniczego, natomiast znajdujemy tam kartki głębokiej prawdy psychologicznej. Najbardziej charakterystycznem dziełem tego rodzaju jest „John — ziarno jęczmienne". Powieść ta opisuje życie pijaka i sprawia wstrząsające wrażenie. W tym duchu napisana jest „Maleńka pani wielkiego domu" i inne. Wreszcie swe zapatrywania społeczne wyłożył Jack London w szeregu powieści, które można zaliczyć do t. zw. utopij. Prowadzą nas one od niemiłej mu teraźniejszości w nieznaną a lepszą przyszłość, w której ludzkość ma nareszcie doznać ukojenia, jeśli nie zupełnego szczęścia. Z dzieł tego rodzaju należy wymienić „Stopę żelazną" oraz najlepszą powieść Londona „Marcin Eden". W dziełach tych wzniósł się ten znakomity pisarz amerykański do niebywałej wysokości, okazując w rozwiązywaniu najdonioślejszych zagadnień wielką intuicję i wiedzę.

Jack London zmarł niedawno jeszcze w sile wieku i rozkwicie swego talentu, ale duch jego żyje wciąż w jego dziełach, których poczytność coraz bardziej się zwiększa.

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą —
W czynów stal!

ZYGMUNT KRASIŃSKI

O wielkich butach, meloniku i laseczce trzcinowej.

LEGENDA OSNUTA DOOKOŁA MOTYWÓW HOLLYWOOD.

Hen, gdzieś za siedmiu morzami, za lasami, wśród gór niedostępnych, nad zawrotną przepaścią (bo tak się przecież bajki zaczynają), w pałacu z karraryjskiego marmuru, i złota narodziło się książątko.

I oto nad uśpionem książątkiem, spoczywającem wśród miękkich lśniących jedwabiów i puchów, pochyliły się trzy wróżki: jedna przyniosła mu uśmiech, druga łzy zdolne roztopić granit, a trzecia, najmłodsza i najpiękniejsza, przybyła do chłopczyny ze złotym słońca promieniem.



Było to rozkoszne, złotowłose chłopię, o wielkich, czarnych, przepaścistych oczętach, o spojrzeniu tak smutnem, jak powitanie deszczowego, jesiennego poranku.

Zła jakaś wróżka, którą za niecne uczynki, sprawiedliwy, stary król wypędził z kraju, rzuciła zły czar na niemowlę królewskie. Żaden z licznych dworzan nie widział nigdy by dziecię się kiedykolwiek uśmiechnęło. Od niemowlęcej już kołyski dziwny smutek przędzą pajęczą spowijać począł chłopczynę.

Stanęła nad kołyską, ucałowała malenkie czółko szepcząc mu coś głosem słodkim a tak cichym, jak szelest skrzydełek motylich. Z woreczka z płatków różanych wyjęła parę bucików mikroskopijnej wielkości. Wyjęte buciczki już w rękach wróżki rosnąć poczęły, a na stópkach dzieciny stawały się coraz większe, aż doszły do niepospolitych rozmiarów.

Matka książątka, młoda królowa, ujrzawszy na drobniutkach nóżkach

synka wielkie, pokraczne buciska, rozpaczliwie usiłowała je zdjąć. Daremne były jednak jej wysiłki. Wielkie, wykrzywione buty jakgdyby zrosły się z różową skórką stópek dziecięcia.

Maleńka wróżka smętnie się uśmiechając ukoronowała główkę książątka czarnym, zniszczonym melonikiem, a na ramieniu zawiesiła mu pospolitą trzcinową laseczkę.

I nagle stała się rzecz straszna. Piękny marmurowy pałac zamienił się w starą zgrzybiałą ruderę, jedwabie i puchy wyściełające kołyskę w brudne postrzępione gałgany, a złote wieżyczki — w okopcone kominy, wyrzucające kłęby czarnego, gryzącego dymu. Arabskie wierzchowce przeistoczyły się we wstrętne kundle, dziecko nie było już wcale księciem.

Był to mały, czerwony, pyzaty smyk, któremu na imię było Charlie a na nazwisko Chaplin. Chłopczyk ten miał pocieszne stópki, rozchodzące się w przeciwne strony, podobne do skrzydeł samolotu. Lata mijały. Chłopię wyrosło i powędrowało w świat daleki.

Szedł sobie przez wsie i miasta szary, śmieszny człeczyna, a serce rozpierały mu „dziwne marzenia". Ten pocieszny, dziwacznie ubrany włóczęga marzył o własnym pałacu, rozkoszach i sławie.

Aż po długiej wędrówce, po licznych przygodach, przybył wreszcie do Hollywood, stolicy królestwa bajki, w którem realizują się najśmielsze marzenia.

I wkrótce przekonał się, iż ta, która go zaczarowała była dobrą wróżką, nie złośliwą, jak dotąd przypuszczał.

Wielkie buty, laseczka trzcinowa i ledwie trzymający się na głowie melonik sprowadziły świat cały do jego stóp.

Ludzie widząc go na ekranie, zapominają o życiowych zawodach, o troskach codziennych i śmieją się serdecznie, jak dzieci, a śmiech ten zamienia się w brzęk złotych monet w jego otwartej dla nędzy ludzkiej szkatule.

Charlie zbudował sobie prawdziwy pałac, poślubił piękną księżniczkę, lecz najwidoczniej zła i mściwa wróżka zburzyła mu ognisko domowe.

Maksymiljan Emmer.

Jak się wyraża potęga filmu w cyfrach?

Srebrny ekran, po którym przesuwają się przed oczami widzów góry śniegiem pokryte, równiny porosłe lasem dziewiczym, lub w nieskończoną dal ciągnące się morza — ów ekran, tak stosunkowo niedawno uważany za „czarną magję" jarmarcznych bud — stał się największą atrakcją dla mieszkańców całego globu.

Ci, którzy chętnie tłumaczą wszelkie zjawiska przyczynami materjalnemi — mogą objaśnić ciągły wzrost jakości filmów, wielką frekwencją odwiedzających je. Trzeba przyznać, że istotnie potęga X muzy przedstawia się obecnie imponująco. Oto kilka cyfr:

AMERYKA posiada 25.000 kin (co stanowi połowę ilości kin całego świata) o 11 miljonach miejsc.

EUROPA posiada 32.000 kin z 9 miljonami miejsc.

AZJA ma 3.000 kin z 600 tys. miejsc.

AFRYKA wreszcie — posiada 12.000 kin z 600 tys. miejsc.

AUSTRALJA posiada 1.200 kin z 350 tys. miejsc.

Kapitały, ulokowane we wszystkich światowych przedsiębiorstwach kinematograficznych, sięgają zawrotnej sumy kilku miljardów dolarów.

Nasuwające się teraz pytanie: jak się przedstawia przemysł filmowy w Polsce — wymaga w porównaniu z innemi krajami,— bardzo smutnej odpowiedzi. Wierzyć należy jednak, że wkrótce stosunki panujące u nas zamienią się na lepsze.

N.

TO i OWO

Nadzwyczajny wynalazek.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej dokonano ostatnio doniosłego wynalazku w dziedzinie techniki. Pisma zawodowe, jak również cała prasa codzienna, szeroko rozpisują się o wielkiem znaczeniu w nauce i życiu rurki inżyniera Coolidge'a. Stworzył on bowiem nowy rodzaj motoru w formie pustej rury o mocy 500.000 woltów. Rura ta posiada bardzo ciekawą właściwość: wysyła ona takie same promienie, jak i radjum.

Najrozmaitsze gazy, wpuszczone do rury, dzięki potężnej sile elektrycznej, zamieniają się w płyny, a nawet w ciała stałe. Doniedawna jeszcze dla osiągnięcia tego efektu trzeba było zużyć wiele pracy, czasu i pieniędzy.

Nawet metale pod wpływem działania tajemniczej rury zachowują się zupełnie inaczej, niż zwykle. Tak np. kawałek miedzi, gdy go zbliżono do rury, mocno poparzył palce dwóch asystentów inżyniera Coolidge'a. Ciekawą jest przytem rzeczą, że gdy następnie zmierzono temperaturę tego kawałka miedzi, okazało się, że był on zupełnie zimny. A jednak parzył!

Gdy się zbliża do rury diamenty, szafiry albo inne drogocenne kamienie, poczynają one świecić dziwnym blaskiem i nie tracą swych właściwości przez kilkadziesiąt nawet godzin po usunięciu ich ze sfery działania rury. Fałszywe natomiast diamenty nie wykazują tych właściwości i dzięki temu można nieomylnie odróżnić prawdziwy diament od sztucznego.

Woda i mleko, umieszczone wpobliżu rury, natychmiast przechodzą w stan wrzenia. Sól z białej staje się czarna, jak smoła. Owady i bakterje giną, gdy znajdą się w obwodzie promieniowania „czarodziejskiej" rury.

Dziwny, a zarazem nadzwyczajny wynalazek. W praktyce znaczenie jego będzie nieocenione.

Henryk Ibsen.



W tym miesiącu upłynęło sto lat od dnia urodzin wielkiego pisarza norweskiego, jednego z twórców współczesnego teatru dramatycznego. Dramaty Ibsena, zawierające idee śmiałe, prawie paradoksalne, ale zawsze głębokie i dotyczące palących zagadnień współczesnych, pozostaną na zawsze wzorem sztuki teatralnej. Pod względem techniki scenicznej Ibsen nie miał sobie równych; ale dramaty jego wywierają głębokie wrażenie nietylko w teatrze, lecz i przy zwykłem czytaniu. Wiele utworów Ibsena wchodzi dotychczas do repertuaru teatrów współczesnych.

Znaczenia Ibsena jakoteż przyczyn jego światowej sławy należy szukać przedewszystkiem we współczesności propagowanych przezeń idej. Ibsen był piewcą nieograniczonego indywidualizmu w literaturze, tak jak Szopenhauer i Nietzsche w filozofji. Nikt nie mógł odmówić Ibsenowi głębokości i oryginalności myśli; jedynym zarzutem, który stawiono utworom Ibsena było, że są trochę za zimne, nie oświetlone gorącą miłością do ludzi, losy których opisuje.

Książki ze stali.

Znakomity amerykański wynalazca, Edison, proponuje obecnie zastąpienie papieru do książek — stalowemi arkuszami. Projekt ten, o ile się urzeczywistni, wywoła przewrót w dziedzinie wydawniczej.

Według Edisona walcowanie stali można doprowadzić do takiej doskonałości, że arkusz stali będzie o wiele cieńszy od arkusza papieru Twierdzi on, że zdoła „skonstruować" książkę grubości 5 centymetrów, która będzie zawierała 40,000 stronic. Waga takiej książki nie przewyższy $^1/_2$ kilograma. Cena jej będzie nie o wiele wyższa niż książek obecnych, bo wyniesie zaledwie kilka szyllingów (szylling—około 2 złotych).

W porównaniu z papierem, stalowe arkusze odznaczają się większą elastycznością, rozciągliwością i wytrzymałością.

Charakterystyczny jest fakt, że cienkie stalowe arkusze wchłaniają atrament i farbę o wiele lepiej niż papier.

Edison sądzi, że wraz z udoskonaleniem techniki produkcji, stalowe książki staną się tańsze od papierowych, a więc dostępniejsze dla ogółu.

Miejmy nadzieję, że polscy uczeni i wynalazcy zainteresują się pracą Edisona i postarają się wykorzystać cenny wynalazek również i u nas. Jest to tem bardziej możliwe, że technika przemysłu metalowego w Polsce posuwa się olbrzymiemi krokami naprzód, a źródeł surowców do wytwarzania „stalowego papieru" mamy poddostatkiem.

Największe zwierzę na świecie.

Największe zwierzę odnaleziono w pokładach skalnych w Ameryce. Jest to szkielet brontosaurusa, gada od tysięcy lat wymarłego. Brontosaurus był tak potężny, że kiedy stąpał ziemia drżała, a głos jego rozchodził się na kilka mil wokoło. Miał on około 28 m. długości, ważył prawdopodobnie 54 tys. kg. Waga odnalezionego szkieletu wynosi 18 tys. kg. Kości są tak ciężkie, że człowiek nie może udźwignąć najmniejszej nawet kostki. O rozmiarach tego potwora świadczy okoliczność, że w tułowiu jego zmieścić się może wygodnie 40 osób.

Sztuczne trzęsienie ziemi.

Norman Pikher z Hausten (Ameryka Północna) opatentował swój niezwykle ciekawy i ważny wynalazek, służący do wywoływania minjaturowego trzęsienia ziemi, zupełnie oczywiście niegroźnego dla ludzi. Wynalazek ten, o bardzo pomysłowej konstrukcji wywołuje trzęsienie ziemi przy pomocy wybuchów dynamitowych. Sztuczne trzęsienie ziemi służy w celu odkrycia nowych pokładów kruszcu, czy innego materjału kopalnego. Dzięki temu wynalazkowi odkryto ostatnio w st. Texas złoża ropy naftowej.

Rośliny mają serce.

Znakomity angielski fizjolog sir Bose w szeregu swych badań nad roślinami, odkrył między innemi, iż każda roślina ma serce. Bose zaobserwował w pniu drzewa pewne szmery, które przypominają bicie ludzkiego serca. Prócz tego znakomity fizjolog udowodnił, że nietylko człowieka i zwierzę, ale i roślinę można oszołomić alkoholem. Roślina reaguje natychmiast na ciecze zawierające alkohol szybszem i obfitszem wyzwalaniem się wodanów węgla. Odkrycia sir Bosego uważają angielskie sfery naukowe za moment przełomowy w botanice.

Czarne chwile przepowiadają naszej ziemi.

Niewesołe chwile w nabliższej przyszłości zapowiada nam geolog niemiecki, Belsche. W serji odczytów, wygłoszonych niedawno w Halli, uczony ten oświadcza, że jesteśmy w przededniu wielkich kataklizmów geologicznych.

Wnioski swe opiera Bolsche na mnogości i niezwykłym charakterze wybuchów wulkanicznych i seismicznych, których widownią jest obecnie powierzchnia ziemi, tudzież na pewnych zjawiskach astronomicznych, tyczących się zwłaszcza naszej planety i Jowisza.

I nie należy — powiada — przypuszczać, że przewidywane zmiany nastąpią stopniowo, w olbrzymich przerwach czasu. Oczekiwać trzeba raczej katastrof bliskich i nagłych. Wszystko, co się dzieje obecnie na oceanie Spokojnym (trzęsienie ziemi w Japonji, wybuchy wulkanu Krakatao, zalew wysp Poli

nezji i wybrzeży amerykańskich przez olbrzymie fale) zapowiada na pewno wyłonienie się z głębin oceanu nowych lądów i grzbietów górskich.

Niekoniecznie nastąpi przytem zanik form życia obecnego, albo też nowy okres lodowy.

Geolog niemiecki sądzi nawet, że kroczymy raczej w kierunku zupełnego zlikwidowania czwartorzędowego okresu lodowego i znajdujemy się blisko okresu ciepła, z którym nastanie na ziemi klimat prawdziwie rajski, nadzwyczaj pomyślny dla rozwoju ludzkości.

Snycerz włoski, Rafael Bendari, zajmujący się również zagadnieniami geologicznemi, a którego przepowiednie okazały się często bardzo trafne, zapowiada także w najbliższej przyszłości katastrofalne trzęsienie ziemi w Alasce, Meksyku, Afryce, na Dalekim Wschodzie i w Jugosławji.

Mamy więc temat odpowiedni do nieprzyjemnych wzruszeń.

Ptaki przed okiem objektywu.

De gustibus non est disputandum — mówi przysłowie; ale różnie się plecie na tym bożym świecie: jeśli może być plemię Azteków o ptasim profilu, czemu nie ma być ptaków o ludzkich, jeśli nie profilach, to chociaż... gustach.

Ptak — sekretarz—nie znosi widocznie objektywu fotograficznego, a może nie lubi karykatury? bo przed okiem aparatu traci zwykły humor i złym wzrokiem spogląda na odwrócone w soczewce oblicze swego sobowtóra... a może w sznurku od migawki znajduje pewne podobieństwo do rodzimych afrykańskich węży, które tak lubi o każdej porze dnia czy nocy, i rozdziawia straszliwy dziobek by go połknąć (sznurek oczywiście) na śniadanie?





Lub ten drugi, flamingo z krainy faraonów. Widać, że zamierzchłe wieki górnej i chmurnej przeszłości wycisnęły swe filozoficzne piętno na „obliczu" obserwatora mumij i nadały mu wyraz smutku i obojętności. A że samiczka nigdy nie traci kokieterji, więc nic dziwnego, że przed aparatem fotograficznym nie omieszkała ozdobić swej głowy pięknym berecikiem z kolorowych piórek.

Zwierzęta lekarzami.

Z kunsztu lekarskiego słyną ptaki. Badacz niemiecki Wilhelm Jaksch po długich obserwacjach doszedł do przekonania, że bociany są znawcami chirurgji i czynią w sposób bardzo misterny opatrunki z różnych ziół. Złamane lub zranione skrzydła umie bocian tak przewiązać, że nie potrafiłby dokonać tego lepiej specjalista chirurg. Tę samą sztukę posiadają jaskółki, żórawie, a nawet pospolite wróble.

SPORT

Triumf barw polskich w Zakopanem.

POLAK ZWYCIĘZCĄ W ZAWODACH MIĘDZYNARODOWYCH.

Po olimpjadzie narciarskiej w St. Moritz rozegrano w Zakopanem walkę o tytuł mistrza Polski w narciarstwie. Obok zawodników polskich do walk stanęli najlepsi zawodnicy czescy, niemieccy oraz węgierscy.

Horoskopy zawodników polskich po ostatniej olimpjadzie były wcale dobre; odebranie tytułu mistrza Polski, który od dwóch lat nie należał do nas, wydawało się być pewne. Najwięcej nadziei pokładano na Bronku Czechu, który osiągnął najlepsze z pośród zawodników polskich rezultaty w St. Moritz.

Dnia 15 marca rozpoczyna się najcięższy bieg—maraton narciarski — na 50 kilometrów. Trasa prowadzi pod Regle, przez Małą Łąkę, Przysłup Miętusi, Kościeliską dolinę do wylotu doliny Chochołowskiej, stąd na Gubałówkę i przez Lipki na Wilcznik.

Z pośród 20 zawodników, którzy odchodzą kolejno w jednominutowych odstępach, finiszuje tylko dwunastu; ośmiu zawodników wycofało się z biegu. Pierwszy zjawia się na mecie najlepszy długodystansowiec czeski, dotychczasowy mistrz Polski w narciarstwie, Ottokar Nemetzky, który osiągnął czas 4 godzin 27 m. 15 sek. Drugi — Jędruś Krzeptowski w czasie 4 g. 30 m. 31 sek., trzeci — J. Nemetzky — 4 g. 32 m. 07 sek.

W drugim biegu na 18 klm. przyjmuje udział Bronek Czech. Cała uwaga i nadzieja publiczności skupia się na najlepszym z naszych zawodników. Trasa była świetna i pozwalała na rozwinięcie w całej pełni techniki „osiemnastki".

Najwięcej szans ma zwycięzca maratonu — Ottokar Nemetzky, jednak ma on godnych współzawodników, jak V. Nowaka, Bronka Czecha i Zdzisława Motykę. Kilkakrotnie wydawało się, że Nemetzky przegra bieg do Bronka, który ruszył przed nim o 1 g. 30 m. Walka była zacięta, obfita w niespodzianki; największą taką niespodziankę sprawił Juljan Motyka, który osiągnął rezultat o wiele lepszy od Zdzisława Motyki i Bronka. Wreszcie na tablicy kapitan sportowy wypisuje czasy:

Pierwszy — Ottokar Nemetzky 1 g. 27 m. 11 sek., drugi — V. Nowak — 1 g. 27 m. 50 sek., trzeci — Juljan Motyka — 1 g. 29 m. 18 sek., a dopiero czwarty — Bronek Czech — 1 g. 29 m. 45 sek.

Ostatnią i decydująca rozgrywką były skoki w niedzielę 18 b. m. Konkurs podzielony na dwie części: skoki do kombinacji i konkurs ogólny.

W skokach do kombinacji bierze udział stosunkowo mało zawodników. W pierwszej serji zwycięża Czech przed Rozmusem i Nemetzkym. Kombinacja więc przynosi zwycięstwo Polakom. Chodzi teraz o drugą część konkursu — skoki indywidualne.

Nemetzky wycofuje się, zastępuje go Vondrak, który ma bronić barw czechosłowackich. Bronek, który był w świetnej formie, bierze olbrzymi rozbieg i osiąga 61 m.!

Obydwa konkursy wygrane. Tytuł mistrza Polski w narciarstwie wraca do Polaka. Zdobywa go najbardziej zasłużony z nich — Bronek Czech.

A. Tan.



Córka Wielkiego Barnuma.

NAPISAŁ ALEKSANDER KUPRIN.

Wiadomo, że królowie i klowny cieszą się przywilejem nazywania jeden drugiego „mój kuzynie“. Ale pierwsi i drudzy tem się jeszcze różnią od zwykłych śmiertelników, że królowie często pamiętają zło, a klowni nadewszystko dobro.

I Wy, nie wątpię, nie gorzej ode mnie znacie Barnuma. Był czemś pośredniem między typem zamerykanizowego Niemca a Amerykaninem czystej krwi. Niezwykłą swą karjerę rozpoczął, jak zresztą większość dzisiejszych miljonerów, od pucybuta. Później jemu pierwszemu strzeliła do głowy myśl pokazać żądnej dziwów publiczności nadprzyrodzone istoty, — kaprysy swawolnej matki - natury. On to właśnie „odkrył“ braci sjamskich, — potwornie zrośnięte bliźnięta, Julję Pasteranę — damę o dragońskich wąsach i wspaniałej kruczej brodzie, „olbrzymów“ na dwie stopy wysokich i wielometrowych „karlików“; tatuowane Indjanki i wymierające plemię Azteków o ptasim profilu. W krótkim czasie należały do niego wszystkie muzea, panoptyki, panoramy, sale dziwów, nie licząc już całego mnóstwa zwierzyńców i cyrków.

Nikt lepiej od niego nie umiał urządzać wspaniałych widowisk i świąt ludowych dla miljonowych mas, z fajerwerkami, iluminacją, muzyką i strzelaniem z armat. A ile znakomitości wydobył on z pod ziemi i pokazał światu, tego byście nawet nie zliczyli!

Trzy imiona ponad inne dźwięczały głośno w ubiegłem stuleciu: Napoleona, Edisona i Barnuma.

Stał się bogaty i sławny a gwiazda jego błyszczała bez przerwy do samej śmierci. Jedno tylko zmartwienie mąciło radość wielkiego Barnuma: oto losy nie zesłały mu syna, któryby mógł w silne ręce ująć dziedzictwo ojca i pomnażając je nadać nowego blasku rodowi Barnumów.

Największą pociechą i osłodą jego życia była jedyna córka Magdalena—piękna Maud... Ale co o tem wiele mówić: w sprawach handlowych najbardziej utalentowana kobieta jest niczem wobec średnio rozsądnego mężczyzny.

Jednak przenikliwego antreprenera zdawna radował i pocieszał fakt, że słodka Maud interesuje się wszystkiem co wchodzi w zakres interesów ojca. Już jako maleńka dziewczynka lubiła budować areny z piasku , patyczków, i zapełniać je lalkami, które miały naśladować publiczność. Mając lat siedem doskonale żonglowała kulami, dyskami, pierścieniami i pałeczkami, a w dziesiątym roku życia galopowanie na olbrzymiej białej klaczy był już dla niej zabawką. Jako doskonała sportsmenka, mając wtedy lat siedemnaście, wstąpiła do biura swego ojca w charakterze sekretarza osobistego.

Wielki Barnum, ze łzami dumy i radości odkrył w niej energiczną rękę, bystrość umysłu i śmiałość zapowiadającą talent do wielkich interesów. Rzadko się wprawdzie zdarza wśród dzieci, a szczególnie dziewcząt, by ich zamiłowania zgadzały się z kierunkiem zamiłowań ojca, ale gdy staje się to faktem, pociąga za sobą zdumiewające rezultaty.

Nastąpił wreszcie ten nieunikniony dzień, gdy Barnum, zaniepokojony uporczywą podagrą, zagadnął córkę o swych latach i dolegliwościach, o szybko mknącym czasie i, nakoniec, o tej ważkiej chwili, gdy panienka pomyśleć musi o towarzyszu życia, a ojciec... o wnukach.

Na to dictum Maud odrzekła, że chociaż o małżeństwie jeszcze nie myślała, a utrata wolności wcale jej się nie uśmiecha, to jednak, ponieważ kochany „pa“ życzy sobie tego, dla utrzymania w przyszłych pokoleniach wielkości domu Barnumów, zgadza się posłuchać ojcowskiej rady. Stawia jednak warunek, aby jej przyszły mąż był obdarzony wszystkiemi zaletami papy: był mądry, przedsiębiorczy, śmiały, wytrwały, zdrów i aby, na podobieństwo jej ojca, miłował nadewszystko kipiące życiem papine dzieło.

— Naturalnie, — dodała Maud, — jeśli grzecznie poproszę, to mój nieoceniony pa, kupi mi za męża prawdziwego księcia o prapra - przodkach. Ja jednak szczycę się tem, że mój czarujący, cudowny pa, czyścił kiedyś buty na ulicach New-Yorku. Naturalnie — wiem doskonale, że znaleźć dla mnie właściwego człowieka jest trudniej niż się nagiąć i podjąć z bruku... księcia. Mojego wybranego trzeba będzie szukać po całej kuli ziemskiej.

W końcu tej rozmowy zostało postanowione: gdy po wiosennem zrównaniu dnia z nocą nastąpią spokojne pogody na oceanie, Barnum z córką udadzą się do starej Europy: ukochany pa — ma kąpać swą podagrę w zamorskich badach, ona — oglądać pałace, ruiny i krajobrazy z Baedeckerem w ręku.

Rozmowa toczyła się sam na sam i niewiadomo jakim cudem, jakgdyby po niewidzialnych niciach, obleciała w błyskawicznem tempie wszystkie na świecie cyrki, muzea i panoptyki. Na całym szerokim świecie było wiadomo, że Barnum wraz z córką wędruje po różnych krajach, by dla niej znaleźć odpowiedniego męża a dla siebie godnego następcę.

Wieść o tem niezwykłem zdarzeniu dotarła również do... Wszystko zresztą jedno dokąd, przecież, jeśli autor nawet mówi prawdę, to i tak czytelnik nie wierzy, a więc niechaj będzie do N.

Było to dziwne i zagadkowe miasteczko... nieobliczalne wprost. Zdarzało się, że buda cyrkowa najlichszego gatunku, z mizernemi szkapami i bezgłosymi klownami wyjeżdżała stąd triumfalnie, wynosząc w kiesach istne grudy złota; innym znów razem najpiękniejszy cyrk z grupą o światowej sławie, przepiękną stadniną i wspaniałym rekwizytem musiał czem prędzej zwijać manatki, przejadłszy uprzednio ostatni zaoszczędzony grosz. Nikt nie wiedział czemu przypisać te skrajne wahania gustów i zainteresowań miejscowej publiczności: modzie, poziomowi wiosennych wód, stanowi giełdy? Zagadka pełna tajemnic!

Tego roku miejscowy drewniany cyrk dzierżawił Momino: maleńki, grubiutki człeczyna o szpakowatych włosach i czarnych farbowanych wąsach. Mówiono o nim, że ma „szczęśliwą rękę“. Skład trupy nie był wprawdzie pierwszorzędny, ale dla miasteczka takiego, jak N., był może więcej niż dobry. Stadnina we wzorowym porządku, orkiestra z dwunastu muzyków pod batutą sławnego Henrico Rossetti, reklama szumna, ceny niewygórowane... I bez widocznych przyczyn cyrk Momino odnosi zupełne fiasko. Pierwsze przedstawienie nie dało kompletu, na drugiem i trzeciem rzędy krzeseł świecą pustką... a dalej ni żywego ducha. Nie pomaga ani darmowe rozdawnictwo biletów, balonów i czekoladek, ani fantowa loterja, ani bezpłatny wstęp dla dzieci w towarzystwie starszych... nic. Krach zupełny... niechęć i rozczarowanie wśród artystów.

I oto pewnego pięknego dnia odbywa się nikomu niepotrzebna próba. Wszyscy ociężali, smutni, rozgoryczeni i aktorzy, i zwierzęta, i stajenni. Wszystkich dręczy jedno pytanie: „co będziemy dziś jeść?“

Nagle przychodzi z miasta stary Vincento, trzeciorzędny aktor. Był on pomocnikiem reżysera i od czasu do czasu, w końcu przedstawienia, występował jako woltyżer. Przychodzi i krzyczy:

— Nowina! Nowina! Niezwykła nowina! Nadzwyczajna nowina!

— Co takiego?—Wszyscy okrążają go zaciekawieni a ten opowiada:

— Dzisiaj przyjechali tu państwo Barnum i zamieszkali w hotelu Londyńskim. Tak, tak, ten właśnie znakomity, amerykański, wraz z córką. Widziałem jego nazwisko na tablicy u szwajcara.

Trzeba sobie teraz wyobrazić jakie podniecenie zapanowało w cyrku. Przecież wszyscy aktorzy zdawiendawna słyszeli o podróży Barnuma po Europie i o celu, jaki tej podróży przyświecał!

Posłano sprytnych chłopców do hotelu, aby zasięgnąć informacyj w administracji. Okazało się, że Vincento miał rację. Rzeczywiście: Charles i Magdalena Barnum przyjechali z Ameryki, przez Francję, Niemcy i Austrję. Cel—podróż. Zajęli trzy najlepsze numery i czwarty — dla tłumacza Zjedli dzisiaj kilo prawdziwego rosyjskiego kawioru ziarnistego i paręset ostryg.

Cała trupa potraciła głowy od tych wieści. Postanowiono posłać do Barnuma uroczyste zaproszenie. Bilety wypisał po angielsku James Adwan, pół-Anglik; on dobrze „robił“ żokieja. Adwan odniósł także kopertę do hotelu.

Barnum osobiście go nie przyjął, lecz wysłał przez tłumacza dwa banknoty studolarowe i kazał powiedzieć, że dziś, z powodu zmęczenia, w cyrku być nie może, ale odwiedzi go na pewno nazajutrz.

A tymczasem w cyrku wszyscy szaleli. Każdy miał tylko na myśli zebrać się w sobie, postarać się, zabłysnąć: jeśli nie nowym, to przynajmniej efektownym numerem. Repetycja odbywała się z zapałem. Młodzież jakby się przykleiła do zwierciadeł. Zrozumcie: miss Barnum, amerykańska piękność, miljony! Cyrkowy „król żelaza“, herkules i champion świata w podnoszeniu ciężarów, Atlas, zakręcił wąsy do góry jak sprężynki i spacerując po arenie w cielistej koszulce, skrzyżowawszy na piersiach potężne mięśnie swoich rąk, spoglądał na przyszłych rywali zwycięsko i z góry. Jaka kobieta oprze się piękności jego kształtów? Pogromca zwierząt, Węgier Czelwan, czyścił zaniedbane klatki swoich tygrysów i lwów. Pozostali łatali trykoty, czyścili i prasowali kostjumy, doprowadzali do połysku niklowe części swych gimnastycznych przyrządów. Cały ten dzień, cała noc i jeszcze pół dnia do przedstawienia — były jedną, wielką gorączką.

Nie wzruszał się tylko jeden człowiek— klown, Battisto Piccolo. Był on utalentowanym artystą, pomysłowym, żywym, wesołym klownem i świetnym towarzyszem. A spokojny pozostał dlatego, że był obdarzony trzeźwym umysłem i doskonale rozumiał, że nie stanowi żadnej partji dla księżniczki wszystkich muzeów, cyrków i zwierzyńców świata...

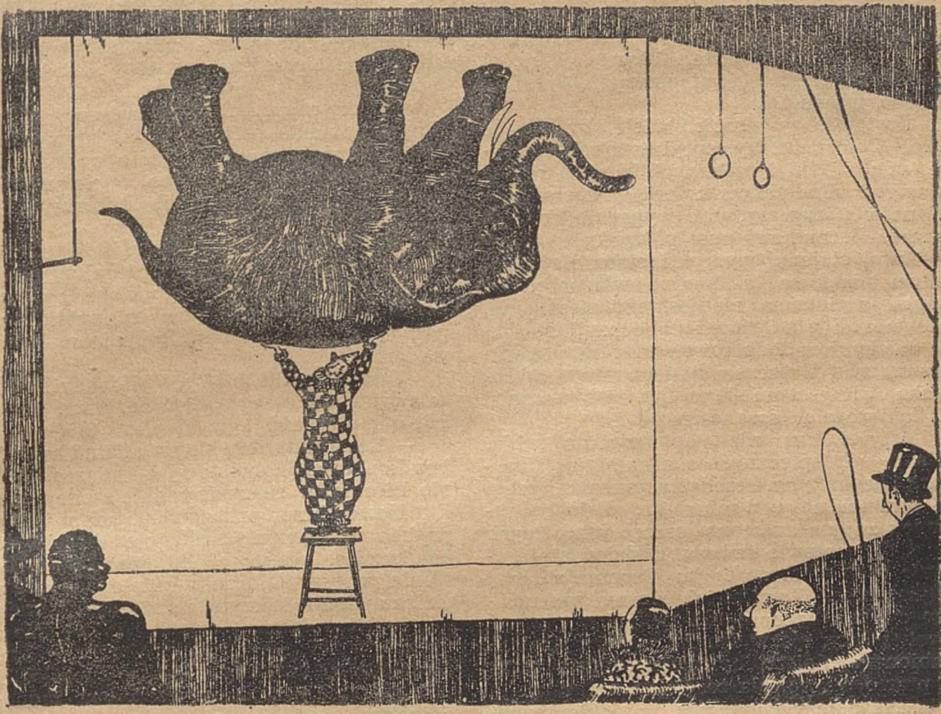
Po próbie, gdy nadeszła wieść o przyjeździe Barnuma, Piccolo poszedł, jak zwykle, do swego przyjaciela. Był nim jego serdeczny kolega i towarzysz, miejscowy fotograf Comeri. Widywali się ze sobą codziennie, żyć bez siebie nie mogli, chociaż

— Ja. Powiedz mi, umiesz chodzić na rękach?

— Tak.

— I stać?

— To nieco trudniej, ale możliwe, nie dłużej jednak nad dwie, trzy sekundy.



„Nieprawdopodobny ale rzeczywisty fakt."

napozór, cóż może być wspólnego między fotografem i klownem?

Ale i ten fotograf nie był znów zbyt dobry ani zbyt staranny. Lecz miał on magiczną latarnię o jakiejś tam dziwacznej nazwie. Latarnia ta rzucała na ekran obrazy nietylko ze szklanych negatywów, ale również z dowolnej malowanki czy obrazka. Urządzając kino w szkołach, czy u miejscowych bogaczy, czerpał Comeri ze swej latarni większe dochody niż z aparatu fotograficznego.

Przyjaciele zjedli śniadanie, Piccolo opowiadał fotografowi o przyjeździe Barnuma i całą historję o jego podróży po Europie. Comeri był z natury sceptykiem, machnął tylko ręką i bąknął: „bzdury!" Lecz w miarę jak śniadanie zbliżało się ku końcowi, Comeri zamyślał się coraz więcej i od czasu do czasu spoglądał gdzieś w przestrzeń ponad głowę klowna.

— Wiesz, Battisto, wymyśliłem dla ciebie na jutro zdumiewający trick

— Ty?

— A mógłbyś utrzymać na nogach niewielki ciężar, coś w rodzaju deski?

— Deski? Owszem!

— Teraz powiedz mi, czy mógłbyć stać na słoniu do góry nogami?

— Bezwątpienia.

— A więc weź kapelusz, ja biorę ze sobą aparat i ten oto słomiany stołek i pędzimy do ciebie po kostjum.

Gdy wyszli z mieszkania klowną na ulicę, Comeri zawołał woźnicę i rzekł:

— Do zwierzyńca! Ale duchem... napiwek jakbyś już trzymał w garści.

Gdzieś na skraju miasta stał zwierzyniec, a w nim, między innemi, wielki mądry słoń. Pogadali z właścicielem. Zgodził się. Dozorca wyprowadził z klatki dobrodusznego Jambo. Kilka kołaczy wprawiło go w błogi stan ducha i zwierzę spoglądało spokojnie na aparat.

Z początku fotograf zdjął oddzielnie słonia i klowna. Potem razem: Piccolo karmi słonia a ten z uśmieszkiem mruży oczy. Później Piccolo delikatnie obejmuje sze-

roko rozstawionemi rękami słoniowe cielsko, i t. d. Nieco trudniej było zdjąć klowna stojącego na rękach na grzbiecie Jambo, nogami do góry ze stołeczkiem na podeszwach, i tutaj trzeba przyznać, że Jambo— wzorowy model — zawinił mniej niż Piccolo. Jednakże Comeri uchwycił odpowiednią chwilę... pstryk!

— Basta!

W drodze do miasta, fotograf objaśniał coś klownowi, ten kiwał głową i uśmiechał się pod wąsem...

Nastąpiło wreszcie wiele obiecujące jutro. Doświadczony, sprytny dyrektor czynił cuda. Setki bezpłatnych biletów rozdano wśród młodzieży szkolnej, żołnierzy, policjantów i tragarzy. Nie wypadało bowiem pokazać Barnumowi pustego cyrku!

Dwaj stajenni wysypali starannie arenę złotym piaskiem, a Momino własnoręcznie ozdobił ją pięknemi niebieskiemi strzałkami, przeplatając je ślicznemi arabeskami. Rozkazał dać koniom dodatkowe porcje owsa, a sam wysmarował tłuszczem kopyta i małą szczoteczką rozczesał im sierść tak, że błyszczała, jak lakierowana szachownica.

Artyści zaś nie zapomnieli o sobie. W składach aptecznych zabrakło już fiksatuaru i brylantyny. Przedstawienie rozpoczęło się punktualnie o 8 minut 30. Zaległy rachunek za gaz opłacono jeszcze rano i cyrk kąpał się w ulewie światła. O dziewiątej godzinie przyjechał do cyrku Barnum z córką i tłumaczem. Powitał ich głośny szmer całego cyrku. Barnum nie zasiadł w przygotowanej loży, ale w drugim rzędzie krzeseł, ulubionem miejscu bywalców cyrku, zaraz na prawo od wejścia ze stajen na arenę.

Czyż należy powtarzać, z jakim zapałem i samozaparciem pracowała trupa tego wieczora? Wszystkie cyrkowe istoty: kobiety i mężczyźni, konie i psy, woźni i stajenni, klowni i muzykanci starali się prześcignąć jeden drugiego. Tutaj trzeba dodać, że po tem przedstawieniu akcje Momino, które przedtem stale spadały, poszły naraz gwałtownie w górę. Herkules Atlas tak się starał, że zapach jego potu dosięgał drugiego, a nawet trzeciego piętra. Po jego występie nastąpiła kolej Battista Piccola. Artyści sądzili, że zadowoli się on wesołą parodją siłacza. Ku zdumieniu wszystkich, wyszedł on na arenę z ręką obandażowaną na temblaku. W łamanej, lecz zrozumiałej angielszczyźnie zwraca się do publiczności, a specjalnie do krzeseł zajętych przez Barnumów i mówi śmiało:

— Szanowna publiczności! Przygotowałem olśniewający numer. Jedną, tylko tą jedną ręką, — tu lewą ręką wskazał na prawą, — mogę podnieść tego atletę razem z jego ciężarami i pięcioma obywatelami z pośród was — panowie! Mogę obnieść tę drobnostkę dokoła areny i wyrzucić do stajni. Niestety, zwichnąłem wczoraj rękę. Ale za pozwoleniem łaskawych widzów, odbędą się tutaj za chwilę na ekranie przy pomocy magicznej latarni pokazy rekordowych atletycznych numerów niezrównanego herkulesa i torreadora Battista Piccola.

Z krzeseł wychodzi czarniawy, ponury fotograf. Razem z nim Piccolo przytwierdza i naciąga na drzwiach wejściowych olbrzymi, wilgotny płat płótna. Fotograf zasiada z latarnią pośrodku areny i, zakrywszy się czarnem prześcieradłem, zapala acetylenową lampkę.

Przykręcają gaz. Ekran jaskrawo oświetlony, a po nim pełzają jakieś niewyraźne, niekształtne cienie. Wreszcie rozlega się głos klowna, niewidocznego w ciemności:

— Azjatycki słoń Jambo, liczący 130 lat życia. Waga $3\,^1/_2$ tonny.

Na ekranie, bardzo wyraziście ukazuje się potężna, prawie w naturalnej wielkości sylweta słonia. Jego trąba zwinięta, oczki śmiesznie utkwione w publiczność, uszy, niby olbrzymie liście łopianu, sterczą po bokach.

Fotograf zmienia obraz. Widzimy Piccola w zwykłem klownowskiem odzieniu, a sam bohater objaśnia:

— Znakomity solo-klown, atleta i herkules bez konkurencji, światowy zwycięzca, Battisto Piccolo, w znacznie zmniejszonej skali.

Nowe obrazy pokazują klowna w jednym rzędzie ze słoniem; następnie Piccolo stoi na krześle, oparłszy się plecami o bok słonia, wreszcie szeroko rozstawia ręce na cielsku słonia i przylega do niego piersią...

— Niewidziany dotychczas nigdzie na świecie numer, — wygłasza klown. — Zaraz niezrównany herkules, Battisto Piccolo, bez pomocy magicznych sztuczek, bez żadnego oszustwa, bez tumanienia oczu, podniesie oburącz słonia Jambo — inaczej $3\,^1/_2$ tonny.

Ekran błyszczy jakby ze zdwojoną siłą i ukazuje się Piccolo stojący na stole, naprężywszy nogi. Jego głowa odrzucona wtył, ręce wzniesione do góry i rozłożone szeroko, a na jego dłoniach, rzeczywiście, rozczapierzywszy kolumnowe nogi, Jambo, taki ogromny, że klown stojący pod nim wydaje się komarem, mrówką. A jednak...

W cyrku cisza. Cienki głosik kobiecy wykrzykuje z galerji: „Ach, święci Pańscy!" Szmer podziwu, strachu, niedowierzania napełnia cyrk.

— Ostatni numer! — przenikliwym głosem krzyczy klown. — Nieprawdopodobny ale rzeczywisty fakt, zadokumentowany współczesną fotografją. Herkules z pośród herkulesów, współczesny współzawodnik Milona z Krotony, Battisto Piccolo, trzyma słonia Jambo — trzy i pół tonny — na jednej ręce!!!

I naprawdę, nowy obrazek przedstawia najbardziej niewiarogodne widowisko — człowiek-mucha trzyma na dłoni wyciągniętej do góry ręki, niesamowicie potężną masę słoniowego cielska. Publiczność przytłoczona. Ktoś łka...

— Koniec przedstawienia, — krzyczy Piccolo, — panie kapelmistrzu — proszę marsza! — Hej! mechanik, więcej światła!

W pełnem świetle gazowych żyrandoli klown widzi, jak, zdjąwszy złote pince-nez, trzęsie się na krześle tęgi, wygolony Barnum. Córka jego stanęła obok i śmieje się do łez.

— Piccolo, Piccolo! — krzyczy ona, — przewróć pan obrazek nogami wdół! Ach, to nadzwyczajne! Odwróć pan obrazek!

I ruchem ręki pokazuje jak należy odwrócić kliszę.

Piccolo podchodzi do jej miejsca, ogromnie, zbyt ogromnie poważnym błazeńskim krokiem i staje przed krzesłem. Zdejmuje czapkę i zamiata nią piasek areny, kłaniając się do ziemi.

— Żądanie pięknej damy, — prawem dla całego świata.

Fotograf na nowo pokazuje na ekranie ostatni obraz, ale tak, jak go zdejmował w rzeczywistości. Wszystkim nagle rozjaśnia się w głowach, że nie Piccolo trzymał słonia na rękach, lecz słoń trzymał klowna na grzbiecie, gdy ten stał na nim nogami do góry...

Z galerji grzmi niezadowolony bas:

— Pfe! oszustwo!

Ale oczy miss Maud jeszcze długo zatrzymują się na twarzy błazna z uśmiechem i ciekawością...

Kiedy publiczność zaczęła się rozchodzić, zadowolona z mile spędzonego wieczora, Barnum zaprosił wszystkich aktorów do siebie na kolację. Uczta była wspaniała; przecież urządzał ją król wszystkich cyrków na kuli ziemskiej! Przygrywała miejska orkiestra, szampan lał się strumieniami, wznoszono wesołe toasty...

Battisto siedział obok pięknej Maud. Bez klownowskiego grymasu na twarzy, trzeba przyznać, był przystojnym młodzieńcem o czarnych pięknie błyszczących oczach. Maud i klown wesoło rozmawiali ze sobą.

W pewnej chwili Barnum, przegiąwszy się przez stół, ze zwykłą mu rubasznością odezwał się głośno:

— Nie znajdujesz — moja droga Maud, że twój towarzysz mógłby być o dwa cale wyższy?

Piccolo szybko odpowiedział:

— Napoleon i Cezar nie wsławili się wysokim wzrostem.

— Oho! — powiedział Barnum.

A Maud dodała:

— Miły pa! lepszy mądry człowiek niskiego wzrostu, niż duży bałwan!

Pod koniec kolacji, gdy wszyscy wstali od stołu, Barnum serdecznie poklepał klowna po plecach i rzekł:

— Posłuchaj, Piccolo! W Budapeszcie kupiłem przed kilkoma dniami olbrzymi cyrk ze stadniną, kostjumami i całym rekwizytem, a we Wiedniu wydzierżawiłem na długi termin kamienny cyrk. A więc proponuję panu: przepraw pan cyrk z Węgier do Wiednia, zbierz najlepszą trupę, pieniędzy dostarczę ile trzeba, wymyśl najlepsze numery i zrób ten cyrk jeśli nie pierwszym na świecie, to chociaż pierwszym w Europie. Jednem słowem, proponuję panu posadę dyrektora...

Uścisnęli sobie ręce i Barnum, klepiąc Battista po plecach, dodał z chytrym uśmieszkiem:

— A dalej, zobaczymy...— A że cyrkowcy tak zawsze gotowi są do tańca, jak cyganie do śpiewu, rozpoczęto kadryle, polki i walce. Mówią, że podczas tańców panna Barnum podarowała w tajemnicy klownowi pierścień z ślicznym rubinem... A rubin, jak wszyscy wiecie, oznacza gorącą, płomienną miłość.

* * *

— No i jak? Pobrali się naturalnie? — zapyta czytelnik.

— Czy ja wiem?... sądzę, że tak. Zresztą byłem wtedy w tym wieku, że połowałem pod stołem na ogon naszego foxterriera nie nachylając się wcale...

Tłumaczył **A. Jaworski.**

Sokolim lotem życie przemija,
Jak kwiat uczucie więdnieje:
Kochaj młodzieńcze, póki ci sprzyja
Młodość, z uśmiechem nadzieję.

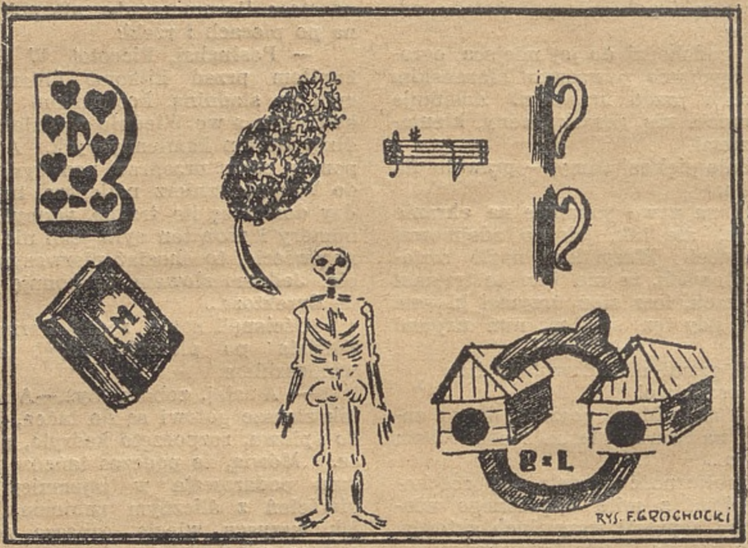
A czy to błyśnie pogoda złota,
Czy łzy żałości popłyną
Obie na drodze twego żywota
Najmilsze kwiaty rozwiną.

A. ODYNIEC.

Rozrywki umysłowe

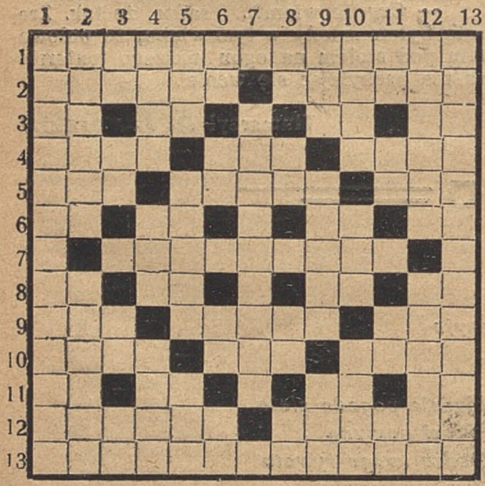
Rebus

ułożył FRANCISZEK GROCHOCKI (Łomża) [3.]



Krzyżówka.

Nad. „HARPUN" (Warszawa)

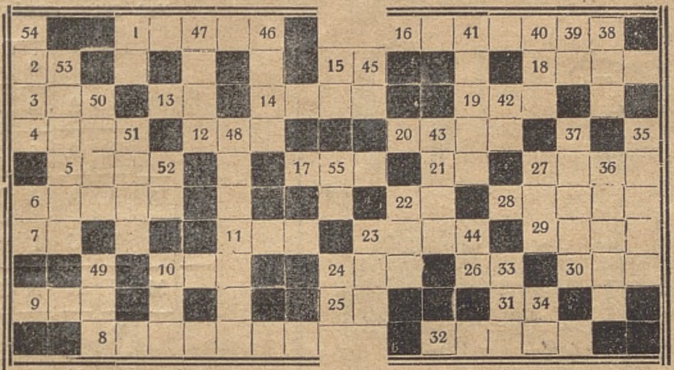


Wyrazy w krzyżówce są czytane jednakowo poziomo jak pionowo. [2]

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1. 1. Napięcie elektryczne dodatnie. 2. 2. Zapach. 2.8. 8.2. Średniowieczne statki wojenne. 3.1. 1.3. Zaimek. 3.4. 4.3. Symbol pierwiastka chemicznego. 4.1. 1.4 Tytuł książąt mahometańskich. 3.9. 9.3. Litera fonetycznie. 3.12. 12.3. Dawna moneta rzymska. 4.6. 6.4. Gatunek konia. 4.10. 10.4. Filozof. 5.1. 1.5. Bożek domowego ogniska. 5.11. 11.5. Spożyje. 6.1. 1.6. Zaimek (wspak) 6.4. 4.6. Dwie spółgłoski. 6.9. 9.6. Miasto starożytne. 6.12, 12.6. Posiada (wspak) 7.3. 3.7. Kartagińczyk. 8.1. 1.8. Dwie spółgłoski. 8.4. 4.8. Wykrzyknik. 8.9 9.8. Jednostka oporu elektrycznego. 8.12. 12.8. Inicjały dzieła naszego wieszcza. 9.1. 1.9. Pierwiastek chemiczny. 9.5. 5.9. Instrument muzyczny. 9.11. 11.9. Wieki. 10.1. 1.10. Imię męskie. 10.6. 6.10. Jednobrzmienność końcówek w wierszach. 10. 10. Kawał drzewa. 11.1. 1.11. Litera fon. (wspak). 11.4. 4.11. Przyimek (wspak). 11.9. 9.11. Litera fon. 11.12. 12.11. Dwie spółgłoski. 12.1. 1.12 Muza astronomji. 12.8. 8.12. W starożytnym Rzymie osoba niewtajemniczona w sprawy święte. 13.1. 1.13. Inaczej planowy. 5.5. Napój (wspak)

Krzyżówka.

Ułożył ŁOZA EMIL (Stołwina) [3]

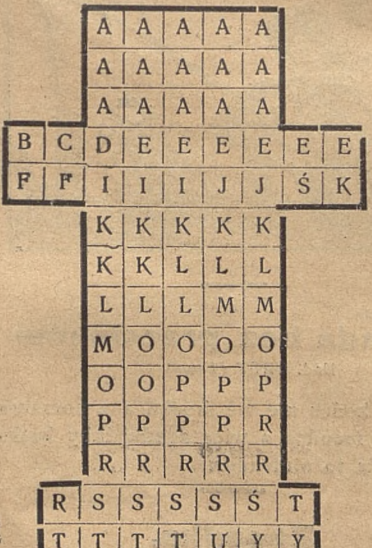


POZIOMO: 1. Klub sportowy. 2. Posiada inaczej (wspak). 3. Albowiem w języku obcym (wspak) 4. Ciec w języku obcym (wspak). 5. Pręt metalowy. 6. Marka aut. 7. Atoli w języku łacińskim. 8. Zasłona u okna. 9. Zaimek wskazujący. 10. Płyta lodu. 11. Obszar zarosły drzewami. 12. Kocham w języku obcym. 13. Miara ziemi. 14. Chód. 15. Pożegnanie. 16. (Mau) Pismo święte u Mahometan. 17. Moneta japońska. 18. Imię biblijne. 19. Roślina. 20. Pióropusz (wspak). 21. Rzeka w Europie. 22. Posiada inaczej (wspak). 23. Waga opakowania towaru (wspak). 24. Imię żeńskie zdrobniałe. 25. Bóstwo egipskie (wspak). 26. Do (p.) w języku obcym. 27. Marka głośników radjowych. 28. Lekarstwo zdawna znane. 29. Niech się tak stanie (wspak). 30. Zwierzę domowe, 31. Przyimek (wspak). 32. Przyrząd sportowy.

PIONOWO: 33. Ofiara inaczej. 34. 15. litera alfabetu i 20 litera alfabetu. 35. Wiatr o stałym kierunku. 39. Znak używany w muzyce. 37. Poranek (inaczej). 38. Przeczenie w języku obcym. 39. Bóstwo egipskie (wspak). 40. Zwierzę, mięczak. 41. Naszyjnik. 42. Litera fonetycznie (wspak). 43. Zapora. 44. Atoli w języku obcym (wspak). 45. Litera fonetycznie (wspak). 46. Ryba (wspak). 47. rozniosłość. 48. Gatunek wina węgierskiego. 49. Żałość (wspak). 50. Lekarstwo (wspak). 51. Ściany domów inaczej. 52. Zaimek wskazujący. 53. Zlecenie inaczej. 54. Oprawa u obrazów. 55. On w języku niemieckim.

Logogryf pomnikowy.

Ułożył SYLW. CZYŃSKI (W-wa)



Rozstawić litery w taki sposób, by powstało 14 wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Środkowe litery czytane z góry ku dołowi, utworzą imię i nazwisko znane w całej Polsce.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1. Części ciała. 2. Żywica drzew podzwrotnikowych, Afryki i Azji. 3. Blacha stanowiąca część zbroi. 4. Chory człowiek 5. Część wozu. 6. Styl architektoniczny. 7. Pobożność. 8. Bajeczny król Trygji. 9. Płyta z gliny palonej, 10. Surowica krwi. 11. Monety obce. 12. Rzeka mityczna. 13. Przygnębienie. 14. Mający krzywe nogi. [3]

Przekładanka geograficzna.

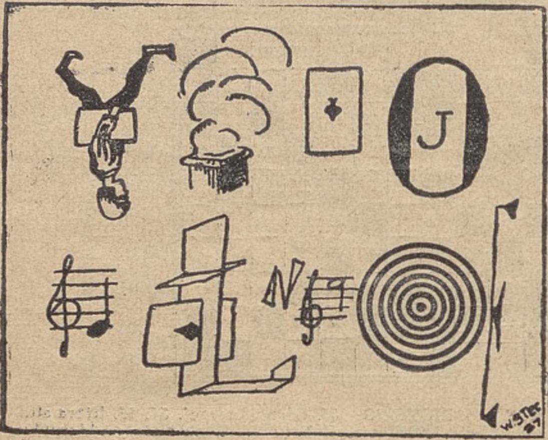
nad. S. Bruckner (Stanisławów)

Bukareszt
Bruksela
Damaszek
Dieppe
Frankfurt
Lublin
Madryt
Palmerston
Zaleszczyki

Nazwy miast tak należy podpisać jedne pod drugiemi, aby pierwsza litera pierwszego miasta, druga litera drugiego miasta, trzecia trzeciego i t. d. utworzyły nazwę nowego miasta. [2]

Rebus.

Ułożył W. STEC (W-wa) [2]



Logoryf.

Nad. W. WARYSZEWSKI (W-wa)

1. Powieść Weyssenhoffa
2. Stopień w marynarce
3. Laureat Nobla (Fizyk)
4. Filozof francuski
5. Rozjemca
6. Inaczej wykonywa czynności faktora
7. Laureat Nobla
8. Dramaturg Niemiecki
9. Miasto we Francji
10. Powieść Gogola
11. Utwór Sofoklesa
12. Minerał drogocenny
13. Utwór Kochanowskiego
14. Część zabudowania wiejskiego
15. Góry w Europie
16. Góra w Polsce
17. Poeta rosyjrki
18. Rodzaj głosu męskiego
19. Poeta polski
20. Potrawa mączna
21. Nowelista rosyjski
22. Utwór Żeromskiego
23. Kaczy puch
24. Autor „Księgi Dżungli"

Należy ułożyć 24 wyrazy o wyżej podanem znaczeniu, a wtedy rząd środkowy da rozwiązanie. [2]

Logogryf geograficzny

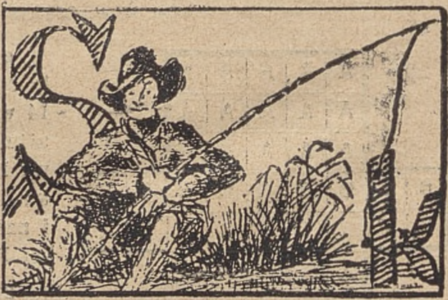
Nad. SYLW. CZYŃSKI (W-wa) [2]

A
A A A
A A A A A
A A A A B D D
E E E G I I K K L
M M N N N N P
R S S S T
U U Y
Y

1) Samogłoska. 2) Wyspa holenderska. 3) Port nad morzem Czarnem. 4) Część Nigerji angielskiej (Sudan środkowy). 5) Starożytne miasto w Afryce północnej. 6) Miasto we Włoszech. 7) Lewy dopływ Nigru. 8) Dopływ Skaldy. 9) Spółgłoska.

Podane litery tak poprzestawiać by otrzymać 9 wyrazów o niżej podanem znaczeniu. Rząd środkowy (pionowy) da rozwiązanie.

Figielek rebusowy. [1]



Szarada bez przecinków.

Nad. GROT (W-wa)

Li na końcu nie we środku a z początku
rzecz nie żmudna a więc zgaduj luby kotku
bo szarada to nietrudna.

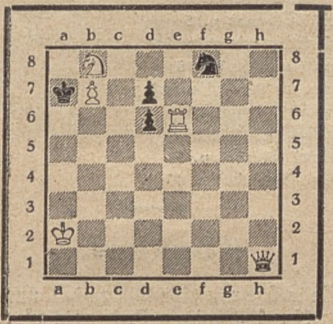
Zagadka.

Nad. GROT (W-wa)

W jakiej epoce zginęła $^1/_4$ część ludzkości?

SZACHY

Zadanie № 13.
K. A. Ł. Kubbel



Mat w 3 posunięciach.

Zadanie № 14.
S. S. Lewman



Mat w 3 posunięciach.

Partja nieregularna.

Grana w turnieju w Nowym Yorku.

R. Reti		Capablanka
1.	Sg1—f3	Sg8—f6
2.	c2—c4	g7—g6
3.	b2—b4!	Gf8—g7
4.	Gc1—b2	0—0
5.	g2—g3	b7—b6
6.	Gf1—g2	Gc8—b7

Obydwaj gracze rozwijają figury w „modernistycznym" stylu.

7.	0—0	d7—d6
8.	d2—d3	Sb8—d7
9.	Sb1—d2	e7—e5

Nareszcie czarne decydują się zawładnąć centrum.

10.	Dd1—c2	Wf8—e8
11.	Wf1—d1	a7—a5
12.	a2—a3	h7—h6
13.	Sd2—f1	c7—c5
14.	b4—b5!	Sd7—f8!
15.	e2—e3	Dd8—c7
16.	d3—d4	. . .

Rozmieściwszy wszystkie figury na możliwie wygodniejszych pozycjach, białe rozpoczynają walkę za pola w centrum.

16.	. . .	Gb7—e4
17.	Dc2—c3	e5×d4
18.	e3×d4	Sf6—d7

Dotychczas Capablanca robił proste i energiczne posunięcia i w rezultacie osiągnął dobrą pozycję. Ale tutaj, jak wskazuje Alechin, należało grać 18... Sf8 — e6. Jeżeli wtedy 19 d4 x c5, d6 x c5 20 Dc3 — c1 z równą grą.

19.	Dc3—d2!	

Bardzo subtelne posunięcie.

19.	. . .	c5×d4
20.	Lb2×d4	Dc7×c4

Romantycznej grze Reti'ego Capablanka przeciwstawia prozę „zbierania kapitałów". Ale w danym wypadku polityka ta daje zgubne rezultaty.

21.	Ld4×g7	Kg8×g7
22.	Dd2—b2+	

Dama zajmuje główną przekątnię, która staje się bardzo niebezpieczna dla czarnych, wobec braku czarnego laufra.

22.	. . .	Kg7—g8
23.	Wd1×d6	

Nie chodzi o piona, tylko o zajęcie szóstej linji.

23.	. . .	Dc4—c5
24.	Wa1—d1	Wa8—a7
25.	Sf1—e3	Dc5—h5

Przeszkadza białemu skoczkowi zająć pole g4, skąd mógłby atakować punkt h6.

26.	Sf3—d4!	Le4×g2
27.	Kg1×g2	Dh5—e5

Nie można grać 27... We8 x e3 28 f2 x e3; Dh5 x d1 wobec 29 Sd4 — e6 lub Sd4 — f5 i czarne tracą damę.

28.	Se3—c4	De5—c5
29.	Sd4—c6!	

Kawalerja pracuje świetnie.

29.	. . .	Wa7—c7
30.	Sc4—e3	Sd7—e5
31.	Wd1—d5!	

Czarne poddały się.

Jeżeli 31... Se5 — c4, to 32. Wd5 x c5; Sc4 x b2 33 Wc5 — c2; Sb2 — a4 34 Se3 — d5 i jedna z wież jest stracona.

Partja powyższa dała powód mistrzowi S. Tartakowerowi do powiedzenia: „Reti będzie najsilniejszym szachistą świata, ale nigdy nie będzie championem świata".

Rozwiązania z Nr. 1.

Rebus (uł. Fr. Grochocki)

WIELU LUDZI WIELKICH STRACIŁA POLSKA W ZESZŁYM ROKU.

Logogryf (Nad. W. Waryszewski)

1. Belemnity. 2. Tacitus, 3. Jaskier, 4. Eurotas, 5. Stołpce. 6. Descartes, 7. Dostojewski, 8. Elektra, 9. Bolonja, 10. Pampasy, 11. Weyssenhoff, 12. Kotlarewski, 13. Granada. 14. Patisia, 15. Thackeray.

Rozwiązanie: MIKOŁAJ KOPERNIK

Krzyżówka (Nad. Cynamon)

Wyrazy poziome:

1. Mebel. 2. Kasta, 3. De. 4. Ro, 5. Ka. 6. To, 7. Dyg, 8. Sto, 9. Non, 10. Automat, 11. By, 12. Zalew, 13. Aa, 14. Niby, 15. Stek, 16. Aga, 17. Alt, 18. Major, 19. Ma. 20. Lak, 21. Ta, 22. Tykwa, 23. Orkan.

Wyrazy pionowe:

1. Medycyna, 2. Edyp, 3. Bigamy, 4. Ba, 5. Ka, 6. Er, 7. Muzy, 8. Los, 9. Ta, 10. Ala, 11. Teologja, 12. Oka, 13. Em, 14. Oko, 15. Ta, 15. Kwas. 17. Ea, 18. Ka, 19. Atom. 20. Atleta, 21. Kontrast.

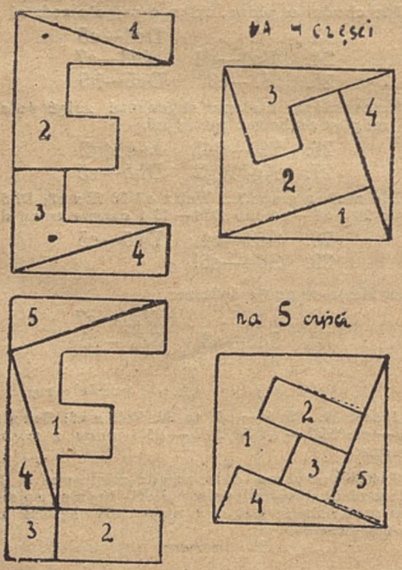
Zadanie szachowe Nr. 8.

1.Gh1—c6; b4—b3; 2.Gc6—b5 ×. 1... d4—d3; 2.Wh3—h4 × 1... Sa2—c3; 2.d2—d3 ×

Zadanie konikowe (uł. W. Waryszewski)

... TAK SZUKAJĄC PRZYCZYNY CZĘSTO NASZA WIEDZA BIERZE ZA FAKT BŁAHY CO SKUTEK POPRZEDZA.

Z litery kwadrat.



Spis uczestników konkursu z № 1 r. b.

Jotes (Puchaczów) p. 15
Fr. Grochocki (Łomża) p. 15
A. Lesiński (Włocławek) p. 13
E. Opatowski (Włocławek) p. 13.
Br. Orzechowski (Rawicz) p. 12
St. Dworak (Puhaczów) p. 12
A. Lesiński (Włocławek) p. 13
E. Łoza (Stolwina) p. 5
Z. i A. Harligowie (Gorlice) p. 5
Zb. Repa (Rohatyn) p. 5
S. Bruckner (Stanisławów) p. 3
J. Sękowski (Rohatyn) p. 8
M. Tyrakowski (Skoków) p. 5
Kl. Kunicki (Ślesin) p. 5
J. Danek (Rzeszów) p. 10

Konkurs.

I. Za trafne rozwiązania zadań umieszczonych w Nr. 4 „Mojego Przyjaciela" redakcja wyznacza następujące nagrody:

I. nagr. *Aparat detektorowy.*

II, III i IV — *nagrody książkowe.*

V i VI — Almanach „Mój Przyjaciel".

Nagrody otrzymają czytelnicy, którzy osiągną najwyższą ilość punktów. Za trafne rozwiązania poszczególnych zadań zalicza się liczbę punktów, wskazaną w nawiasach przy każdem zadaniu. Brak wskazówki oznacza zadanie poza konkursem.

Termin nadsyłania rozwiązań z Nr. 4 upływa z dniem 20 maja r. b.

II. Sprostowanie. W Nr. 3 „M. P." opuszczone zostały przy dwóch zadaniach cyfry, wskazujące liczbę punktów, zaliczanych za rozwiązanie. A więc, prostujemy: za rebus Grochockiego — p. 3; za krzyżówkę Waryszewskiego — p. 3.

Wynik konkursu rozwiązań z Nr. 1 b. r.

Jotes (Puhaczów) — punktów 15 — I nagroda.

Fr. Grochocki (Łomża) — punktów 15 — II nagroda (przez los.).

A. Lesiński (Włocławek) — punktów 13 — III nagroda.

E. Opatowski (Włocławek) — punktów 13 — IV nagroda

Bł. Orzechowski (Rawicz) — punktów 12 — V nagroda.

St. Dworak (Puhaczów) — punktów 12— IV nagroda.

KĄCIK DLA DZIECI



Pióro, kałamarz i książki.

— Patrz, — dumnie rzekło pióro, zwracając się do kałamarza i wskazując na dwie grube księgi, leżące na stole, — obie te książki są napisane przeze mnie. Gdyby mnie nie było — nie byłoby również i tych ksiąg.

— Poco tak się pysznisz, — odpowiedział kałamarz, — przecież samodzielnie pisać nie potrafisz: bez atramentu nie mogłobyś ani jednego wiersza skreślić. Dlatego już raczej ja powinienem się chwalić...

— A o mnie toście zupełnie zapomnieli, — odezwał się korek, — gdyby mnie nie było, atrament wysechłby i nie byłoby czem pisać.

— Nie, bezwątpienia najważniejszym z pośród was wszystkich jestem ja, — krzyknął arkusz papieru, — przecież pisze się na mnie, a beze mnie nic nie potraficie zrobić.

Księgi w milczeniu przysłuchiwały się tej rozmowie: one wiedziały, że napisał je ktoś inny i że ani pióro, ani kałamarz, ani arkusz papieru nie mają prawa się pysznić.

* * *

Mali przyjaciele, czyście uważnie przeczytali powyższą powiastkę? No... i cóż?...

Czy nie dziwi was milczenie mądrych ksiąg? Przecież należy zawsze dzielić się prawdą i uczyć tych, którzy mniej wiedzą od nas, aby i oni byli mądrzejsi. Bo im kto jest mądrzejszy tem mniej się pyszni i chwali!

Dokończcie więc, młodzi czytelnicy, myśli mądrych książek, a za najdowcipniejszą i najlepszą odpowiedź redakcja obdarzy was ślicznemi książeczkami.

Z pism i książek

Curwood J. O.: „WŁADCA SKALNEJ DOLINY" (The Guzzly). — Księgarnia św. Wojciecha, Poznań b. r. Przekład Jerzego Marlicza.

Książka bardzo ładna i odpowiednia dla młodzieży. — Odpowiedniejsza nawet dla niej, od tak lubianych utworów Londona z życia zwierząt, gdyż nie posiada jego brutalności (co słusznie podnosi tłumacz w przedmowie), owszem krzewi uczucia humanitarne. Tłumaczenie staranne.

Mielżyńska Wanda: „JAZZ-BAND I GITARA". Poznań. Spółka pedagogiczna 1928. Powieść ta, czyli raczej pobieżny szkic powieściowy, opowiada dzieje młodej angielskiej miljarderki, która by uciec przed tłumem konkurentów ubiegających się o jej bogactwa więcej niż o nią samą, przyjmuje posadę towarzyszki jedynaczki bankiera w Warszawie.

Na tej drodze nieznana, pragnie znaleźć prawdziwą miłość. I znajduje ją w postaci tajemniczego szofera. Downar, pochodzący z wyższych sfer towarzyskich i niezwykle zdolny inżynier, ciężkiemi warunkami losu zmuszony jest do pracy zarobkowej jako szofer u bankiera. Między młodą Angielką, a pracującym nad wynalazkiem technicznym młodym człowiekiem nawiązuje się przyjaźń, potem miłość. Po szeregu banalnych i łatwo dających się usunąć przeszkód lady Betty poślubia w Paryżu Downara, który tymczasem otrzymał w spadku majątek i zasłynął jako wybitny wynalazca.

Powieść pisana gładkim i lekkim stylem, kreśli powierzchowne obrazy z życia wielkoświatowego w Londynie, Warszawie i Riwjerze. Postacie szkicowane zgrabnie, lecz bez psychologicznego pogłębienia. Różne aktualne społeczne zagadnienia poruszone są jakby w przelocie bez zatrzymywania się nad niemi. Dla ruchliwości swej akcji powieść ta nadaje się do filmów, może też być czytana przez starszą młodzież, dla której przedstawiać może rozrywkę umysłową; jednakże jest to lektura bez większej wartości, choć pod względem moralnym jest bez zarzutu.

Rejewska Z.: „SIÓDME NIEBO". Powieść filmowa, według scen. Austera. Warszawa b. r. Powieść filmowa, sensacyjna, kończąca się dobrze, gdzie źli zostają ukarani, a dobrzy wynagrodzeni.

Skrzynka pocztowa

St. Dworak. Przesuwankę zamieścimy. Dziękując za przysłane zadania, prosimy o dalszą i... obfitszą w owoce współpracę.

Sylw. Czyński (W-wa). Logogryf wirowy efektowny i udatny zamieścimy w najbliższym numerze. Notatki dodatkowej: „zadanie to poświęcam Panu X.", ze względu na zasadnicze unikanie przez nas wprowadzania na łamy pisma jakichkolwiek bądź sympatyj czy animozyj osobistych niestety nie możemy wydrukować.

N. Cynamon (Płock). Za obfity materjał rozgrywkowy—serdecznie dziękujemy. Szkoda tylko, że graficzne opracowanie materjału nie znajduje się na należytym poziomie. „Literatura polska w hieroglifach" nie nadaje się do kliszowania. Redakcja niednokrotnie zwracała już uwagę na konieczność wykonywania rysunków tuszem, gdyż tylko takie możemy zamieszczać w dziale „Rozrywki umysłowe". Czekamy więc na... świeżą pocztę.

Żepuna (W-wa). Pomysł równania literackiego nader oryginalny... lecz, trzeba przyznać, niezbyt zrozumiały: czy — X. 10. 5 (gdzie kropka ma chyba zastąpić znak mnożenia) ma się równać 147? Oczekujemy rychłej odpowiedzi!

S. Goldberger (Nowy-Sącz). Miło nam było słyszeć ciepłe słowa zachęty i uznania z kartek serdecznego listu. Uwaga pańska jako słuszna, została już.. dawniej wzięta pod uwagę i w najbliższym czasie znajdzie swój wyraz w specjalnych artykułach.

J. Kiel (Wilno). Początki radjotechniki sięgają lat 1886 — 1888. Hertz przeprowadzając wtedy klasyczne doświadczenia z krótkiemi falami elektromagnetycznemi potwierdził elektromagnetyczną teorję światła Maxwella i stworzył podstawy dla przesyłania energji elektrycznej przez przestrzeń. Elihu Thompson stwierdził już w r. 1889, że fale Hertza można zastosować do przesyłania znaków.

Hughes, a później Branty (1892) zapomocą koherera (rodz. detektora) umożliwili odbiór fal na dłuższej przestrzeni. Uczony rosyjski Popow połączył po raz pierwszy koherer z anteną i przesyłał znaki na odległość 4 km.

W tym samym czasie A. Righi w Bolonji zbudował t. zw iskiernik trójelektrodowy, nadający się znakomicie do wysyłania fal elektromagnetycznych. Odkrycia swoich poprzedników zastosował genjalny uczeń Righi'ego Marconi i w roku 1897 zrealizował pierwsze praktyczne zastosowanie radjotelegrafji (między wyspą Flatholm i Lawernock Point).

III.

W czasie rozmowy między Dżemsem a Armandem, Robert w towarzystwie dwóch polismanów wsiadł do karety, która zawiozła go do twierdzy. Straż więzienna w jasno szarych mundurach przejęła aresztowanego, brama więzienna otworzyła się, aby przepuścić Roberta i zamknęła się za nim, zgrzytając żelaznemi zasuwami. Więźnia zaprowadzono do małego pokoju, gdzie oczekiwał nań urzędnik, siedzący przy stole z piórem w ręku. Teraz dopiero dowiedział się Robert o szacunku z jakim odnoszą się w Australji do wolności osobistej. Spostrzegłszy Roberta, urzędnik zajrzał do leżącej przed nim księgi i zapytał, kłaniając się grzecznie:

— Czy pan jest Podwodnym Korsarzem?

Narzeczony Lorsji skinął głową.

— Dobrze. W Europie istnieje dziki zwyczaj dodawania numeru do nazwiska aresztanta, ale my, wolni synowie Australji uważamy to za pogwałcenie wolności osobistej. Dlatego, pozostawiam kwestję tę do dyspozycji pana: czy zechce pan zachować dotychczasowe swe nazwisko, czy też obierze pan jakiś dowolny pseudonim?

Robert spojrzał zdziwiony na urzędnika.

— Jeżeli pan tak bardzo szanuje wolność osobistą, to może pan wypuści mnie stąd? — zapytał, uśmiechając się wesoło.

Uwaga ta wydała się urzędnikowi tak dowcipna, że roześmiał się serdecznie.

— Wszystko, prócz tego, — odpowiedział, uspokoiwszy się nieco. — Przecież to nie ja zamykam pana w więzieniu, tylko społeczeństwo. Wewnątrz tego gmachu jestem nieograniczonym władcą, ale władza moja kończy się za jego murami. Przekona się pan, że zostawiamy naszym gościom jak największą swobodę. Oczywiście, panie korsarzu, — pragnie pan zająć najbardziej wygodny lokal?

— Owszem, bardzo chętnie.

— I, — oczywiście, obiad więzienny wyda się panu niesmaczny. Może życzy sobie pan dostawać obiady z miasta?

— Pan jest bardzo uprzejmy.

— Cieszę się, że mogę przysłużyć się panu. Dodam jeszcze, że ma pan prawo żądać wszystkiego, co mu się tylko zechce, oczywiście za dodatkowem wynagrodzeniem. Nawet, o ile będzie

pan uważał, że wyrok sądu jest niesłuszny albo niemiły dla pana, może pan zażądać trucizny. Nie namawiam pana do samobójstwa, ale gdyby pan się zdecydował na to, radzę zwrócić się do więziennej apteki, gdyż ceny są tam o wiele niższe, aniżeli w miejskich aptekach.

Robert roześmiał się, wysłuchawszy dziwnej tej propozycji. Dobry jego humor sprawił bardzo miłe wrażenie na urzędniku.

— Mówię z panem, jak z nowicjuszem, — dodał, — ale jestem pewny, że pan jest dostatecznie doświadczony w tych sprawach. Pewnie ma pan w kieszeni jakiś środek, który dopomoże mu do pozbycia się szubienicy. Niech się pan nie krępuje, — dodał z uśmiechem. — To jest pańskie prawo. Tutaj nikogo nie rewidujemy — ten dziki europejski zwyczaj nie ma u nas zastosowania. A więc, — zakończył, — zapisałem: „Podwodny Korsarz“, wygodny lokal — 3 shillingi za dobę, obiad z miasta — 8 shillingów. Czy to nie będzie za drogo?

— Zgadzam się.

— Odprowadźić gentelmana du celi Nr. 2, Krobsi, — zwrócił się urzędnik do jednego z dozorców, — proszę uważać, aby aresztant nie miał powodów do skarg.

I ukłoniwszy się grzecznie Robertowi, zaczął zapisywać coś do dużej księgi.

Na znak Krobsi'ego, Robert wyszedł z poczekalni, przeszedł przez labirynt ciemnych kurytarzy, aż wreszcie dostał się do dużego pokoju, w którym stało łóżko, szafa z lustrem, umywalnia, stół i kilka krzeseł. Pokój ten przypominał numer w drugorzędnym hotelu. Na zakratowanem oknie wisiała wzorzysta firanka, podłoga była przykryta takim samym dywanem.

— Tu jest wcale przyjemnie, — mruknął pseudo-Korsarz.

Twarz dozorcy rozpłynęła się w uśmiechu.

— O, panie, to jest najlepsza cela w całem więzieniu. Jeżeli pan stanie na krześle, to przez okno zobaczy pan całe miasto i port. Piękny widok, wspaniałe powietrze. Szkoda tylko, że nieporozumienia, jakie pan ma ze sprawiedliwością, nie pozwolą mu korzystać z naszej gościny przez dłuższy okres czasu... Ale, na miłość Boga, po co ja tyle gadam? Trzeba przecież pomyśleć o obiedzie. Tu wpobliżu znajduje się restauracja, w której przygotowują wspaniałe potrawy.

I grzeczny dozorca, odgadując życzenie swego „klienta“, szybko wykombinował menu obiadu, który wystarczyłby nawet

dla dziesięciu ludzi. Widocznie, liczył na resztki obiadu i trzeba przyznać, że proponowane przezeń menu świadczyło o nieprzeciętnym apetycie wynalazcy. Nie przeszkodziło mu to jednak, przy wyjściu z celi, szczelnie zamknąć za sobą drzwi.

Robert nerwowo przechadzał się po celi.

— Żeby tylko Armand zdążył uprzedzić Dżemsa, — żeby też Dżems był w Sydneju... — mówił w zdenerwowaniu. — A gdyby go nie było... Jakie to będzie nieszczęście!

Wątek jego myśli przerwał Krosbi. Grzeczny dozorca przyniósł kosz, pełen talerzy, szklanek i butelek. Szybko nakrył do stołu, rzucając od czasu do czasu smutne spojrzenia na więźnia. Zdawało się, że miał mu coś do zakomunikowania, ale nie mógł zdecydować się. Wreszcie, postawiwszy półmiski na stole, zwrócił się do Roberta:

— Panie Korsarzu.

Robert odwrócił się.

— Jakiś gentelman na ulicy polecił mi wręczyć panu pakuneczek.

Robert drgnął,

— Daj mi to pan prędzej, — wyrzekł.

— Oczywiście, wręczę to panu. Ma pan prawo otrzymywać wszystko, co mu się tylko spodoba. To maleńkie zapieczętowane pudełeczko. Ale mam do pana wielką prośbę...

— O co chodzi?

— Widzi pan... Może to jest trucizna, o której mówił panu dziś rano nadzorca... A więc... może pan poczeka, nie zje tego tak prędko... Mam rodzinę, siedmioro dzieci... A główny mój zarobek — to usługi, które wyświadczam więźniom.

Naiwna ta prośba wywołała uśmiech na zmęczonej twarzy Roberta. A więc nadzorca rzeczywiście nie przesadzał. Więźniowie mieli wszelkie przywileje, a nawet prawo do samobójstwa.

Dozorca oczekiwał odpowiedzi.

— Według mego obliczenia, o ile zgodzę się na szubienicę, będę żył jeszcze około tygodnia, — odezwał się Robert.

— Tak jest, — potwierdził dozorca.

— Ile pan zarobi przez ten czas?

Dozorca przez chwilę zastanawiał się.

— Dwa shillingi dziennie. To nie za dużo?

— Nie! A więc razem szesnaście shillingów?

— Tak jest.

Robert sięgnął do pugilaresu, wyjął pięć funtów sterlingów i podał dozorcy.

— Ma pan sto shillingów.

— Ale nie mam reszty.

— Bierz pan wszystko. A teraz proszę prędzej oddać mi to pudełeczko.

Dozorca schylił się w głębokim ukłonie i podał Robertowi przewiązaną sznurkiem i zapieczętowaną lakiem paczkę. Więzień niecierpliwie wyrwał ją z rąk dozorcy.

— Niech pan poczeka, — wyrzekł Krobsi głęboko wzruszony. — Może jest jeszcze jakaś nadzieja. Niech pan poczeka.

Robert znakiem polecił mu wyjść. Chciał pozostać sam w celi, aby jak najprędzej dowiedzieć się, skąd przybyła ta paczka i co ona zawiera.

Kiedy drzwi się zamknęły, więzień zerwał sznurek, złamał pieczęć i otworzył pudełko. Ale, zajrzawszy do wnętrza, drgnął z przerażenia. Dno pudełka wysłane było watą, a na wacie leżał mały flakonik z bezbarwnym płynem. Etykieta zawierała napis: „Cjanek potasu".

Robert ostrożnie wyjął flakonik z pudełka. Pod nim leżała maleńka karteczka; więzień domyślił się, że kartka ta wytłumaczy mu tajemnicę paczki. Drżącą ręką rozwinął kartkę.

„Nie obawiaj się niczego. Wypij wszystko do ostatniej kropli. Kartkę spal", — przeczytał Robert. — To jego charakter pisma, jego! — wyrzekł. — Dobrze! Nie będę się bał. Do ciebie, dziwny człowieku, należy me życie, w twych rękach spoczywa mój los... Będę posłuszny.

Blady ze wzruszenia, zapalił zapałkę i przytknął ją do karteczki. Gdy spaliła się, starannie zdmuchnął popiół.

— List zniszczony. Teraz sam coś napiszę.

Zbliżył się do stołu i, wyrwawszy karteczkę z książki, napisał ostatni list:

„Umieram z własnej woli. Proszę nikogo nie posądzać"...

I położywszy kartkę na widocznem miejscu, sięgnął po flakonik.

— Nadeszła pora. Teraz udowodnię, że nie boję się i ufam.

Położył się do łóżka. Smutny uśmiech wykrzywił jego wargi.

— No, cokolwiekby się stało, Lorsjo, umrę z twojem imieniem na ustach!

(d. c. n.)

SEN ZWYCIĘZCA.

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

Napisał WACŁAW SZTROM

I.

— Teraz przechodzę do najistotniejszej części mego wykładu, — wyrzekł profesor i, przerwawszy na chwilę, spokojnie, jakgdyby mówił o najbłahszych sprawach, nalał sobie szklankę wody i odpił kilka łyków.

Audytorjum zamarło w grobowem milczeniu.

Było to niecodzienne audytorjum. Wieść o odkryciu profesora Van Harena dotarła dziwnemi jakiemiś drogami, któremi rozpowszechniają się zazwyczaj trzymane w tajemnicy wiadomości, do wszystkich uczonych świata. Nikt nie wiedział na czem polega nowe odkrycie; a jednak wszyscy, którzy otrzymali zaproszenia, tłumnie zebrali się w oznaczonym dniu i godzinie w lokalu jednego z najstarszych uniwersytetów Europy. Nauka całego świata była tutaj reprezentowana przez swych najbardziej renomowanych adeptów. Audytorjum to śmiało można było nazwać — mózgiem ludzkości.

— Zreferowałem panom, — ciągnął dalej profesor, — wszystkie najpoważniejsze odkrycia z dziedziny fizjologji snu. Zacząłem od nadzwyczajnych, jak na owe czasy, prac Legendre'a i Pierrona, którzy pierwsi stwierdzili toksyczne podłoże snu, czyli, inaczej mówiąc, dowiedli, że sen nasz jest skutkiem działania pewnych trucizn, powstających w naszym organizmie. Opowiedziałem panom również, w jaki sposób udało mi się wydzielić, zbadać i następnie sztucznie stworzyć antytoksynę trucizny snu. Jak się panowie w tej chwili przekonają, preparat mój nie jest na tyle skomplikowany, abyśmy nie byli w stanie bez specjalnych wysiłków zorganizować produkcję antytoksyny w światowej skali i w ten sposób wybawić ludzkość z największego zła, jakie narzuciła mu natura — odwiecznego przekleństwa snu.

Sądzę, że dalszy bieg mojej myśli jest dla panów jasny. Z chwilą kiedy wiemy, że organizm w ciągu kilku godzin wytwarza ilość energji, wystarczającą do zneutralizowania trucizny snu, śmiało możemy przypuścić, że przez wprowadzenie mego preparatu do krwi zdo-



Profesor Van Haren, wynalazca preparatu antihipnotoksynowego.

łamy przyśpieszyć reakcję w organizmie tak samo, jak przyśpieszamy ją w kolbie. Doświadczenia, które przeprowadziłem w tym kierunku, w zupełności potwierdziły moje przypuszczenia, a rezultaty przewyższyły najśmielsze oczekiwania. Okazało się bowiem, że wystarczy wprowadzić do organizmu najmniejszą ilość mego preparatu, aby reakcja odbyła się z taką intensywnością, która czyni sen zupełnie zbytecznym a nawet niemożliwym dla człowieka.

Ciało chemiczne, które wchodzi w skład mego preparatu, nie wyróżnia się skomplikowaną strukturą i przedstawia sobą połączenie pewnych bardzo rozpowszechnionych na kuli ziemskiej elementów.

Oto jest jego formuła...

Kiedy formuła zajaśniała na ekranie, taka prosta i zrozumiała, grobowa cisza audytorjum została przerwana jakimś niewyraźnym szmerem, jakby głębokiem westchnieniem, które jednocześnie wyrwało się z tysiąca piersi. W westchnieniu tem przejawiło się zdenerwowanie słuchaczy, które powoli lecz nieprzerwanie wzrastało w ciągu wykładu. Natężoną uwagę zmieniło ogólne podniecenie. Każdy czuł nieodpartą potrzebę wysłowienia się, podzielenia się z innymi dziwnem uczuciem, które go ogarnęło.

A jednak, kiedy profesor Van Haren przemówił znowu, w audytorjum zapanowała martwa cisza. „Mózg ludzkości" był świetnie dyscyplinowany.

—Pozostało mi jeszcze kilka słów do powiedzenia, — wyrzekł profesor.—Nie chciałbym przypisać zbyt wielkie znaczenie memu odkryciu; z drugiej strony nie mogę jednak niedocenić znaczenia faktu, który przed chwilą panom zakomunikowałem.

A więc, sen został zwyciężony!

Odtąd ludzkość otrzyma do swego rozporządzenia jedną trzecią część życia, której niesłusznie pozbawiła go natura. Stanowi to, licząc tylko zdolną do pracy ludzkość naszego globu, około sześciu miljardów godzin pracy na dobę...

Przy ostatnich słowach mówcy w audytorjum znów powstał zgiełk stłumionych okrzyków, który świadczył o podnieceniu słuchaczy. Zbyt potężne było znaczenie odkrycia, żeby nawet tak poważne umysły mogły uprzytomnić sobie odrazu jego doniosłość i potraktować je, jako fakt realny. Przygniatało ono olbrzymią perspektywą, która otwierała się przed ludzkością.

—Niema dwóch zdań,—ciągnął dalej mówca,—że zwycięstwo nad snem przyniesie ludzkości niezliczone dobrodziejstwa. Jednak, byłoby największą lekkomyślnością, a nawet zbrodnią, niezwłocznie przystąpić do masowego szczepienia przeciwsennego serum. Pamiętajmy, że każde nowe odkrycie ukrywa w sobie wielkie niebezpieczeństwa. Jakie to będą niebezpieczeństwa, — tego ani ja, ani nikt inny nie jest w stanie przewidzieć; ale negować tej możliwości nikt z nas nie ma prawa. Najbliższem i niecierpiącem zwłoki naszem zadaniem— to wszechstronne zbadanie fizjologicznego działania antihipnotoksynowej szczepionki, co zabierze nam, prawdopodobnie, niejeden rok pracy. Ja i moi współpracownicy przystąpiliśmy już do pracy w tym kierunku, ale praca znajduje się jeszcze w początkowem stadjum i dużo wody upłynie, nim dobrniemy do celu. Między innemi, uważam za swój obowiązek zakomunikować czcigodnym kolegom, że kilka miesięcy temu zaszczepiłem sobie przeciwsenne serum i od tego czasu nie zmrużyłem oka ani na chwilę. Jak dotąd nie stwierdziłem w moim organizmie żadnych ujemnych następstw fizjologicznych, mimo nieprzerwanej i bardzo ścisłej kontroli nad wszystkiemi jego funkcjami. Ale, rzecz jasna, to pojedyńcze i zbyt krótkotrwałe doświadczenie, nie rozstrzyga jeszcze kwestji.

Teraz pozostaje mi tylko wyjaśnić panom w jakim celu, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa przedwczesnego zaznajomienia ogółu z mo-

jem odkryciem, zdecydowałem się jednak ogłosić publicznie rezultaty niedokończonej mej pracy. Uczyniłem to, ponieważ dwa tygodnie temu tajemnica mego odkrycia, znana tylko mnie jednemu, została wykradziona.

Słuchacze nie mogli opanować zdumienia, wywołanego tak niespodziewaną wiadomością.

Kiedy w audytorjum znów zapanowała cisza, profesor oświadczył spokojnie:

— Nie chciałem, aby naukowe odkrycie tak wielkiej wagi stało się w pierwszym rzędzie zdobyczą przestępców, dlatego nazajutrz po stwierdzeniu kradzieży poczyniłem kroki do jego opublikowania, gdyż to było jedynem rozumnem wyjściem.

Teraz zwracam się do panów z apelem. Użyjcie panowie wszelkich wysiłków, poweźcie wszystkie możliwie środki, aby uprzedzić ludzi przed przedwczesnem wykorzystaniem mego odkrycia, aż do czasu, kiedy ta praca, która odtąd, — mam nadzieję, — stanie się naszą wspólną pracą, będzie zakończona w całości. Sądzę, że jest to — naszym obowiązkiem wobec ludzkości.

Skończyłem.



. . . dla mieszkańców miast noc przestała istnieć.

II

Oznaki zbliżającego się niebezpieczeństwa z początku przeszły niepostrzeżenie. Minęło kilka miesięcy, zanim ludzkość zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

Profesor Van Haren powziął wszystkie środki, aby formuła jego wykładu nie stała się ogólnie znana. Przedstawiciele prasy nie otrzymali zaproszeń na konferencję. Natomiast najpopularniejsze pisma otrzymały mglisty komunikat, który stwierdzał, że profesor Van Haren odkrył środek przeciwsenny ale preparat ten nie został jeszcze udoskonalony, wobec czego w obecnym stanie w żaden sposób nie może być polecony do ogólnego użytku. Odpowiednie prace, brzmiał komunikat, będą wkrótce rozpoczęte jednocześnie w kilku laboratorjach, przyczem rezultaty badań będą podawane do publicznej wiadomości.

W ten sposób stłumiono w zarodku zaciekawienie, wzbudzone w społeczeństwie. Sprawa, jak zwykle, odbiła się głośnem echem na łamach prasy, ale nie przekroczyła granic zwykłej „sensacji" gazetowej. Wogóle epoka, o której mówimy, obfitowała w wielkie wynalazki w różnych dziedzinach nauki. Z pośród nich największe zaciekawienie wzbudzały prace o rozkładzie i syntezie pierwiastków, które pozwalały spodziewać się bliskiego przewrotu w różnych dziedzinach techniki i zapowiadające w niedalekiej przyszłości przebudowę naszego codziennego życia. Dlatego też uwagę szerokich sfer społeczeńswa zdołano szybko odwrócić od wynalazku profesora Van Harena i wkrótce przestano o nim nawet wspominać.

Na skutek żądania uczonych, obecnych na konferencji, wkrótce prawie we wszystkich krajach, do kodeksów karnych, regulujących używanie i rozpowszechnianie różnych narkotyków, dodano jeszcze jeden punkt. Na zasadzie tego punktu zabroniono nietylko osobom prywatnym, ale również wszystkim lekarzom, stosowania przeciwsennego serum. Ale ta zmiana w kodeksie uszła zupełnie uwagi społeczeństwa.

Pierwsza przemówiła statystyka. Stwierdziła ona nadzwyczajny wzrost samobójstw, który rozpoczął się prawie jednocześnie we wszystkich większych miastach świata. Liczba samobójstw w ciągu jednego miesiąca, czyniąc olbrzymi skok, osiągnęła cyfry, charakteryzujące dwudzieste lata XX wieku, a w ciągu następnego miesiąca kilkakrotnie już przewyższyła je i ciągle jeszcze wzrastała z niepojętą szybkością. Dziwne to zjawisko nie dało się niczem wytłumaczyć.

Wkrótce potem odezwała się naukowa prasa medyczna. Stwierdziła ona bowiem kolosalny wzrost chorób na tle rozstroju systemu nerwowego w najrozmaitszych formach i przejawach. Oryginalna ta epidemja również wzrastała szybko i stale.

Tymczasem wielu już wiedziało i wielu domyślało się przyczyn dziwnych tych zjawisk. Ale ci, którzy wiedzieli na pewno, będąc pośrednio zamieszani w to, co się działo, milczeli ze względów zupełnie zrozumiałych. Zaś ci, którzy tylko podejrzewali prawdę, a przedewszystkiem uczeni i lekarze, milczeli tylko dlatego, że nikt nie decydował się pierwszy otwarcie wystąpić z objaśnieniem. Zresztą, w ten sposób skierowanoby ogólną uwagę na odkrycie profesora Van Harena i tem samem pogorszonoby jeszcze sprawę.

Kres niezwykłej sytuacji położyła policja jednego z największych miast Ameryki. Pierwsza podała ona do ogólnej wiadomości, że w ciągu ostatnich paru tygodni zaaresztowała i oddała pod sąd cały szereg osób, jak również zlikwidowała wiele tajnych organizacyj, które zawodowo zajmowały się szczepieniem przeciwsennego serum.

Nadzwyczajna wiadomość, szybko obiegłszy cały świat, porwała i rozentuzjazmowała dosłownie całą ludzkość. Wszyscy, poczynając od największego nędzarza do członków rodzin panujących, mówili i myśleli tylko o jednem. Wszędzie, nawet w najbardziej zapadłych zakątkach kuli ziemskiej, myśli mieszkańców były skierowane do jednego problematu, — problematu zwycięstwa nad snem.

III

Profesor Van Haren siedział w gabinecie przy biurku, zatopiony w smutnych rozmyślaniach. Szybko rozwijające się wypadki denerwowały uczonego więcej, aniżeli kogokolwiek innego. Przecież on jeden był sprawcą tego, co się stało, a więc, on sam jest odpowiedzialny za wszystko.

Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju wszedł starszy asystent profesora, Brown, stary i niezastąpiony towarzysz pracy w ciągu wielu lat.

(D. c. n.)

KUPON do Nr. 4.

(Wyciąć i załączyć do rozwiązania zadań)

Imię i Nazwisko ____________________

____

Adres ____________________

RREMJE dla Czytelników „Mojego Przyjaciela“

Czytelnicy „Mojego Przyjaciela“, którzy uiszczą prenumeratę za jakikolwiek bądź okres czasu — otrzymują następujące premje, (względnie ulgowe warunki przy nabywaniu książek wyd. „Pomoc Szkolna“).

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na 1 kwartał, otrzymują z rabatem **50%**:

1) **Mały kalendarz „Mój Przyjaciel“** cena 75 gr.

2) **Almanach „Mój Przyjaciel“** tom I-szy cena zł. 2

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na pół roku, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. i 2. z rabatem **50%**

3) **Duży kalendarz „Mój Przyjaciel“**

Cena księgarska w oprawie tekturowej zł. 2.50;
w ozdobnej oprawie zł. 3.—

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na rok, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. 2. 3. z rabatem **50 %**

4) **Almanach „Mój Przyjaciel“, t. II/III (rocznik 1927)**

Cena księgarska zł. 6.

Na koszty przesyłki należy załączyć:

za Mały Kalendarz „Mój Przyjaciel“ . . . . . . gr. 15
za Almanach „Mój Przyjaciel“ tom I . . . . . „ 35
za Duży Kalendarz „Mój Przyjaciel“ . . . . . . „ 35
za Almanach „Mój Przyjaciel“ tom II/III . . . . . „ 60

5) Prócz tego wszyscy prenumeratorzy pisma „Mój Przyjaciel“ korzystają przy kupnie książek wyd. „Pomoc Szkolna“ z rabatu **10%**.

Szczegółowy katalog wydawnictwa „Pomoc Szkolna“ wysyła się na żądanie bezpłatnie.

Administracja p. „Mój Przyjaciel“

KONKURS

Redakcji kalendarza „Mój Przyjaciel".

Wydawnictwo kalendarza uczniowskiego „Mój Przyjaciel", przystępując do pracy redakcyjnej, związanej z wydaniem kalendarza na r. 1929, zwraca się do ogółu czytelników z prośbą o wskazanie:

1. Jakie działy - zdaniem czytelnika, — potrzebne, — nie zostały uwzględnione w kalendarzu.
2. Jakie rozdziały, jako niepotrzebne, należy usunąć.
3. Jakie omyłki zakradły się do tegorocznego wydania kalendarza.

Dla uważnych czytelników, którzy nadeślą trafne uwagi*) Redakcja przeznacza

50 nagród

wśród których znajdują się: **komplet przyborów do pisania, statuetka sportowa, skórzana teka do książek, piłka footballowa, książki beletrystyczne i naukowe** i wiele inn. wartościowych nagród.

Odpowiedzi należy przesyłać pod adresem **Redakcja Kalendarza „Mój Przyjaciel", Warszawa, Bielańska 5.**

Termin upływa z dniem 1 czerwca r. b.

UWAGA. Dla czytelników, którzy pragną wziąć udział w tym konkursie, a nie posiadają kalendarza, Administracja przeznacza pewną ilość egzemplarzy, które wysyła z rabatem 50%, t. zn. za zł. 1 gr. 25 (zamiast zł. 2 gr. 50) i za zł. 1 gr. 50 w ozdobnej oprawie (zamiast zł. 3.—).

---

*) Oczywiście prócz uwag czytelnik może nadesłać rozmaite materjały, które chętnie przyjmiemy, o ile się nadawać będą.

Opracowania tematów maturalnych z literatury polskiej — zeszyt IV zawiera:

Idee estetyczne Norwida. — Prus i Orzeszkowa wobec haseł „Ody do młodości“. — Pierwiastki ideowe w twórczości Marji Konopnickiej. — Świat ukochań chłopa polskiego w Placówce.—Idee etyczno-społeczne Orzeszkowej na tle powieści Nad Niemnem. — Optymizm historyczny Sienkiewicza w Trylogji. — Pierwiastek religijny w Mojej Pieśni Wieczornej Kasprowicza. — Petronjusz a Hamlet, pokrewieństwa i różnice. — Tło dziejowe w Popiołach. — Tragedja współczesności w świetle „Wesela“ Wyspiańskiego. c.

Mickiewicz — Krasiński. Ich życie na tle twórczości.

Utwory te omawiają w sposób wyczerpujący całokształt twórczości wieszczów na tle ich życiorysów. cena książki 1.50

Moljer i jego twórczość

Życie i dzieła. — Tło epoki. — Rozbiór poszczególnych komedyj Moljera. — Ogólna charakterystyka komedyj. — Problemy socjalne i obyczajowe w komedjach M. — Znaczenie M. — Moljer a literatura polska. c. 1.50

Geneza, treść, rozbiór i opracowane tematy:

Mickiewicza — Konrad Wallenrod w nowem przerobion. wydaniu	—.80
Mickiewicza — Grażyna w nowem przerobion. wydaniu	—.50
Mickiewicza — Ballady i romanse	—.50
Słowackiego — Marja Stuart	—.40
Kochanowskiego — Odprawa posłów greckich	—.40
Fredry — Pan Geldhab	—.50
Krasickiego—Przypadki Mikołaja Doświadczyńsk.	—.50
Sienkiewicza — Quo Vadis?	1.—
— Rodzina Połanieckich	1.—
— Bez Dogmatu	1.—
— Krzyżacy	—.80
Wyspiańskiego — Warszawianka	—.50
Prusa — Emancypantki	—.—
Szekspira — Makbet	—.70
Sofoklesa — Król Edyp	—.50
Byron — Korsarz i Giaur	—.80

Skróty historji powszechnej p/g *Nankego, Gebertów, Zakrzewskiego* i inn.

— Starożytna, Średniowieczna, Nowożytna, Nowoczesna.

Dostosowane ściśle do wymogów programu Ministerstwa W. R. i O. P., nadają się one do powtórzenia kursu, bez względu na to, według jakiego podręcznika dany czytelnik uczył się przedmiotu. Do każdego tomiku dodano zbiór pytań syntetyczn. cena każd. części 1.20

Skrót Nauki o Polsce Współczesnej wraz ze zbiorem pytań syntetycznych, przystosowany do programu Ministerstwa W. R. i O. P. c. 1.20

Krótki zarys fizyki wraz ze zbiorem wzorów i pytań, przystosowany do programu Min. W. R. i O. P.

Wykład przystępny, ścisłe określanie pojęć i jasne sformułowanie praw, obfite przykłady ilustrujące ułatwiają uczniowi zrozumienie przedmiotu. Pytania, zamieszczone w końcu podręcznika, obejmują również całokształt fizyki w zakresie gimnazjalnym.

Odpowiedzi na powyższe pytania nie wymagają prawie wcale rachunku ani konstrukcji, lecz tylko samodzielnej obserwacji i wniknięcia w treść poznawanych praw przyrody. c. 3.—

Zadania maturalne podane w różnych gimnazjach z rozwiązaniami za 1927 r. w zeszytach c. zesz. à 1.80

Rybkina — Rozwiązania zadań geometrycznych (cz. III) — Stereometrja z zastosowaniem trygonometrji w 3 zeszytach cena zesz. à 1.80

Słowniczek ortograficzny liliput „HAWU“ zawierający najniezbędniejsze słowa ortografji polskiej c. —.50

Nauka administracji i Prawo administracyjne

1. Uzupełnienie do skryptów. 2. Pytania c. 2.50

Konstytucja 17 Marca 1921 r. wraz ze zmianami, wprowadzonemi przez ustawę z dn. 2 Sierpnia 1926 r. pod redakcją *A. Tompolskiego* c. —.60

Słownik polsko—litewsko—rosyjski
zawiera około 10.000 słów. Nadający się dla rosjan i dla litwinów. c. 3.—

Kalendarz ucznia p. t. **„MÓJ PRZYJACIEL"** na r. 1928 wyd. zmienione i uzupełnione (kalendarz, notes, skróty nauk szkolnych i wiadomości praktyczne)
cena w ozdobnej oprawie . . . . . 3.—
„ w kartonie 2.50

Kalendarz ucznia na rok 1928. Kalendarz, notes i wiadomości praktyczne w okładce . c. —.50

Almanach „Mój Przyjaciel" tom I zawiera:
Naokoło świata. — Przyroda. — Księgi najnowszych wynalazków. — Zabawy i gry towarzyskie. — Rzeczy pożyteczne. Zadania (na podstawie matematyki). Zgadnij? i inn. c. 2.—

Almanach „Mój Przyjaciel" tom II / III (rocznik 1927) zawiera ciekawe działy:
Szkoła a życie. — Nowela i feljeton. — Artykuły popularnonaukowe. — Nieparadoksalne paradoksy. — Młody technik. — Radjo. — Awjatyka. — Sport. — Teatr i kino. — Ze świata. — Podróże i przygody. — To i owo. — Humor i inn. c. 6.—

Nowości, które się ukażą z druku:

Samouczek języka niemieckiego

C y d — Charakterystyka

Skrót historji literatury polskiej w 3-ch częściach

Księgi Narodu i Pielgrzymstwa (oprac.) **Mickiewicza**

Tematy maturalne z zakresu historji:

1) Rywalizacja polsko-szwedzka o Bałtyk. 2) Walka o morze w dziejach Polski. 3) Znaczenie dla Polski dostępu do morza ze stanowiska interesów ekonomicznych. 4) Polityczne znaczenie posiadania Bałtyku. 5) Obyczaje i zwyczaje ludów, mieszkających nad Bałtykiem. 6) Bałtyk jako morze. 7) Polska a Gdańsk.

WYDAWNICTWO

„POMOC SZKOLNA" H. WAJNERA

Warszawa, Bielańska 5.

Dodatek do katalogu № 16.

Zarys historji wychowania
Opracowany na podstawie najnowszych podręczników polskich i obcych z dodaniem w końcu bardziej skondensowanego streszczenia, umożliwiającego powtórzenie całego kursu przed samemi egzaminami. c. 3.—

Samouczek języka francuskiego
Opracowany na zasadzie t. zw. „metody koncentrycznej", ułatwiającej gruntowne nauczenie się języka francuskiego bez pomocy nauczyciela, i zaopatrzony w wypisy, wzory listów i rozmówki, z dodatkiem, zawierającym rozwiązania wszystkich ćwiczeń i zadań. c. 3.50

Gramatyka francuska w 100 prawidłach
Jasny, zwięzły i przystępny wykład prawideł mowy i pisowni francuskiej, z dodaniem spisu rzeczy, terminów gramatycznych w alfabetycznym porządku ze wskazówkami ich rozmieszczenia w książce. Mimo skromnych rozmiarów zawiera cały materjał wymagany przez program Min. W. R. i O. P. c. 1.50

Francuska Korespondencja handlowa
Każdy rozdział poprzedzają objaśnienia w języku polskim, również każdy list zaopatrzony jest w krótkie objaśnienie (w jęz. polskim). Do listów dodane są uwagi, jak np. tłumaczenie i objaśn. trudniejszych słów i zwrotów francuskich, wskazówki gramatyczne i t. p.

Każdy prenumerator i czytelnik pisma naszego powinien nabyć

Almanachy „Mój Przyjaciel"

ALMANACH tom I

(wszystkie numery p. „Mój Przyjaciel" do r. 1927) Cena zł. 2.—

ALMANACH tom II

(rocznik 1927) Cena zł. 6.—

Almanachy zawierają bogate działy egzotyki, ciekawą treść i liczne ilustracje.

Administracja p. „MÓJ PRZYJACIEL"

Dokładny spis rzeczy „Almanachów" patrz № 12 i 1 „Mojego Przyjaciela".

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Treść numeru:

Symbol współczesności. Artykuł wstępny. — **Ku słońcu.** Wiersz. — **Ponad falami oceanów.** Rajdy lotnicze Paryż - Nowy York i Londyn - Australja. — **Zaczarowana rzeka.** Nowela (dokończenie). — **Piewca białych pustyń.** Życiorys Jacka Londona na tle jego twórczości. — **Historja o wielkich butach, meloniku i laseczce trzcinowej.** Legenda, osnuta dookoła motywów Hollywood. — **Sport.** Triumf barw polskich na międzynarodowych zawodach w Zakopanem. — **Córka wielkiego Barnuma.** Nowela. — **To i owo.** Nadzwyczajny wynalazek Książki ze stali. Henryk Ibsen (stuletnia rocznica urodzenia). Ptaki przed okiem objektywu. Zwierzęta lekarzami. Największe zwierzęta na świecie. Czarne chwile przepowiadają naszej ziemi. Sztuczne trzęsienie ziemi. Rośliny mają serce. — **Rozrywki umysłowe.** Rebusy, krzyżówki, szarady. **Konkursy rozwiązań.** — **Kącik dla dzieci.** Pióro, kałamarz i książki. Bajeczka. — **Z pism i książek.** | **Odpowiedzi redakcji.** — Dodatek powieściowy: I. **„Podwodny Korsarz".** II. **Sen Zwycięzca.** Powieść fantastyczno - naukowa.

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL":
Prenumerata roczna zł. 6.60; półroczna — 3.30, — kwartalna 1.65, — miesięczna — .60.
Ceny ogłoszeń: Za tekstem cała str. — 100 zł., 1/2 str. — 55 zł., 1/4 str. — 30 zł. 1/8 — 20 zł.; na okładce cała str. — 140 zł., 1/2 str. — 75 zł., 1/4 — 40 zł., 1/8 — 25 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5. tel. 239-18.

Do numeru niniejszego załączono katalog wyd. „Pomoc Szkolna" H. Wajnera.

Redaktor B. Petersilie — Wyd. „Pomoc Szkolna" H. Wajnera

Druk. „GRAFIA" Warszawa.